Władysław Kozdra
Dziedzictwo kulturalne Lubelszczyzny — str. 3

Romuald Wiśniewski
Jak hitlerowcy prześladowali księży diecezji lubelskiej — str. 5

Waldemar Babinicz
Czarne anioły — str. 11

Krzysztof Janowicz
Wiesław Michnikowski — str. 12

CENA 2 ZŁ

LUBLIN BIAŁYSTOK KIELCE RZESZÓW

Kamena

LUBLIN 15.VII.1966 Nr 13 (346) R. XXXIII — DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY — Wychodzi od 1933 r.

BIBLIOTEKA UMCS LUBLIN

Współczesność historii

LESŁAW M. BARTELSKI

PAWEŁ Jasienica zabłysnął jako publicysta dopiero po wojnie. Był człowiekiem już w pełni dojrzałym, gdy debiutował w 1945 roku i miał poza sobą sporo doświadczeń życiowych.

Jasienica zaczynał świetnie, od razu zwrócił uwagę na siebie artykułami na łamach „Tygodnika Powszechnego", pisanymi prosto, zrozumiale, bez wątpliwej wartości ozdobników. Jego język ukształtował się na klasykach naszej prozy, głównie na Sienkiewiczu, było także coś z kresowości w jego stylu, a także pewna buńczuczność i zadziorność. Jasienica nie uznawał fałszywych autorytetów, zwalczał w porywie publicystycznej pasji każdego, kto nie myśląc samodzielnie, chował się za cytaty i utarte poglądy. Kiedyś ostrzegałem żartobliwie jednego z kolegów, który wojował piórem z Jasienicą, by uważał, bo ten pisarski pseudonim pochodzi od zdania „Ja się nic a nic nie boję". Aliści skoro ujawniłem to w „Świecie", Jasienica nadesłał sprostowanie do pisma, twierdząc, że to, co głoszą w sposób dla niego zaszczytny, mija się z rzeczywistością, gdyż swój pseudonim wziął od nazwy wioski Jasienica, położonej w powiecie Ostrów Mazowiecka, niezbyt daleko od Małkini.

Dlaczego właśnie Jasienica? Jakie powiązania miał z nią autor „Polski Jagiellonów"? Może to zwykły przypadek? Po tym incydencie nie miałem odwagi spytać, dlaczego właśnie tak się stało. Urodził się przecież Jasienica w dalekim Symbirsku nad Wołgą, do szkoły średniej uczęszczał w Opatowie, a kończył ją w Grodnie, zaś studia wyższe w Wilnie. Był nauczycielem historii w tym samym Grodnie, gdzie uczęszczał do gimnazjum, potem spikerem w Wilnie, wreszcie w okresie wojny działaczem podziemia i redaktorem jedynego numeru pisma AK „Pobudka", jakie ukazało się w czerwcu 1944 roku. Z Puszczy Rudnickiej przebił się z resztkami akowskich brygad na lewy brzeg Bugu. Bywał żołnierzem w mundurze i bez munduru. Uciekł w 1939 roku z niewoli niemieckiej w Opatowie, przeprowadzany wraz z kolumną jeńców przez miasto, które nieźle znał. Jako oficer rezerwy ukrywał się przez pięć lat, wojna dała mu się dobrze we znaki.

„Skończyłem studia historyczne przed wojną, ale możność obserwowania tego, co się dzieje po wojnie u nas i na świecie była moim drugim uniwersytetem" — odwiedzył Krystynie Nastulance w wywiadzie udzielonym „Polityce". Jego publicystyka obracała się głównie w kręgu historii najnowszej, tej jeszcze nieostygłej, tak mocno splecionej z teraźniejszością, że tworzyła jakby wyraz, w którym pisarz zaznaczał nie tylko rzadkie dni chwały, ale i momenty klęski, nie popadając jednak w przesadę i oceniając rzeczywistość realistycznie. Wyprowadzał więc swoje pisarstwo zarówno z doświadczeń osobistych jak i dziejów społeczeństwa, o czym wspomina wyraźnie w tomie „Myśli o dawnej Polsce", podając: *„Wcale nie przeczę, że moje poglądy ukształtowały się*

(Ciąg dalszy na str. 3)

NA TROPIE LIPCA

JERZY DOSTATNI

TO było tu...

Major rozpostarł ręce i znieruchomiał jak drogowskaz. Wysoka, spieczona słońcem skarpa rzeki zataczała wielkie półkole, opadając lekko ku północy. Na drugiej stronie kołysała się zielona, niezwykle gęsta ściana zarośli, po obu stronach ledwie dychały w lipcowym słońcu łysiny żółtego piachu.

— Tak, to było tu — powtórzył uradowany. W czasie dwugodzinnej jazdy samochodem drapał się w czoło martwiąc się, czy potrafi odnaleźć to miejsce. Major Wiktor Giedrys miał prawo zapomnieć, gdzie przed 22 laty przepływał plutonowy Wiktor Giedrys. Chwila wprawdzie była wtedy szczególna, zwłaszcza dla tych, którzy jak plutonowy maszerowali już od Lenino, ludzie więc po wyskoczeniu na skarpę całowali ziemię lub mokrymi jeszcze od wody rękami usiłowali wytrzeć nagle wilgotniejące oczy. No, ale nikt nie myślał o historii, bo trzeba było pilnie załatwiać bardziej prozaiczne rzeczy. A przede wszystkim chronić własne głowy, które koniecznie chcieli trafić ukryci jeszcze w Uhrusku i rozrzuconych tu i ówdzie chałupach niemieccy snajperzy.

— Bug był wtedy szerszy i jakoś bardziej niespokojny — wspomina major. — Skarpa też była niższa i jednym skokiem można było znaleźć się na brzegu. Byłem wtedy dowódcą plutonu zwiadu szkoły podoficerskiej I Dywizji Wojska Polskiego. Widzi pan ten las na wzgórzu, tam, w Związku Radzieckim?

Głos mego rozmówcy stał się nagle gorączkowy i równocześnie jakby dla kontrastu, przyciszony. Wyciągnięty palec zdawał się świdrować rozleniwione upałem powietrze i sięgać aż do owych sosen nie bacząc, że środkiem płynącej u naszych stóp rzeki biegnie granica pomiędzy dwoma państwami. Te sosny musiały wtedy być zagajnikiem — pomyślałem. Znaliśmy się dopiero od kilkunastu dni i to dosyć oficjalnie. Major był człowiekiem bardzo trzeźwo patrzącym na życie, opanowanym, zdyscyplinowanym wewnętrznie chyba znacznie więcej, niż na zewnątrz wymagał tego mundur, ozdobiony piętnastu różnokolorowymi baretkami orderów i odznaczeń. Więc chyba nie interesował się nigdy telepatią. Ale w tej chwili powiedział nadal przyciszonym głosem:

— Tak, to był wtedy niski zagajnik. Tam stała nasza artyleria. Nie wiem, ile jej tam było — zwykłego plutonowego nikt o tym nie informował. Ale oczyściła przedpole, czyli ten brzeg Bugu, tak dokładnie, że Niemcy odstąpili od rzeki i forsowanie jej, przynajmniej na tym odcinku, poszło szybko i bez większych ofiar. Skąd się wzięły łódki i tratwy po tamtej stronie nie mam pojęcia. Przepłynęliśmy suchą nogą, ale potem— tu odwrócił się energicznie jak na pokazowej mustrze — było trochę bagien. O, widzi pan ten budyneczek prosto przed nami? To leśniczówka. Dotarłem tam z plutonem mokry i zabłocony jak nieszczęście. To się teraz łatwo mówi. Ale te dwa kilometry pokonywaliśmy chyba ze cztery godziny. W południe przyczółek trzymał się już mocno na tej stronie Bugu. W Polsce. Rozumie pan: w Polsce.

Nagle zawiesił rozpostarte ramiona i potykając się o kamienie lub drzewa w gorączkowym pędzie szedł [illegible] w stronę owej leśniczówki, która wtedy, w lipcu 1944 r., dała mu pierwszy dach nad głową na oswobodzonym skrawku ojczyzny, napoiła pierwszym litrem łapczywie pitej wody, zwykłym, nawet niezbyt dogotowanym kartoflem, który wydawał się niezwykłym przysmakiem bo był swój, polski..

Na nadbużańskich łąkach, aż po Uhrusk i Okopy, tylko nieliczne chałupy przetrwały ów dzień forsowania Bugu. Dziś już zapadają się ze starości, podpierane kępkami soczo[illegible] małych sadów. Stare, bo stare, ale gdzie im tam do czasów, gdy przed 700 laty książę, a właściwie już król Daniel Halicki, zakładał gród w dzisiejszym Uhrusku i właśnie tu osadził biskupa, zanim obrał sobie stolicę w pobliskim Chełmie. I chyba tu, na owych nadbużańskich łąkach, zbierał wojska, z którymi ruszył na zwycięską bitwę z Krzyżakami pod Drohiczynem. Dziedzicem Uhruska, pierwotnie chyba Huhruska, był później łowczy chełmski Marcin Huhrowiecki, zięć Mikołaja Reja. Niegdyś nad miastem Uhrusk górowała cerkiew, dziś nad wsią Uhrusk pyszni się pękata wieża wodociągowa. Na rzece nie trzeba szukać brodu, są bowiem dwa żelazne mosty: drogowy i kolejowy...

O wsi Okopy historia milczy. Ale teraźniejszość jest bujna, niecierpliwa, twórcza. Właśnie przed kilku miesiącami powstał tu komitet społeczny przebudowy wsi. Pani sołtys Józefa Albiniakowa, rencista Kazimierz Derkacz i wielu innych zdobywają cement, blachę, drut, eternit. To praktyczna realizacja hasła „Zmieniamy oblicze wsi lubelskiej". Albiniakowa pamięta dobrze ów lipiec 1944 r. i powiada, że pierwsza zmiana oblicza wsi dokonała się właśnie wtedy, chociaż chodziło o coś poważniejszego...

(Dokończenie na str. 4)

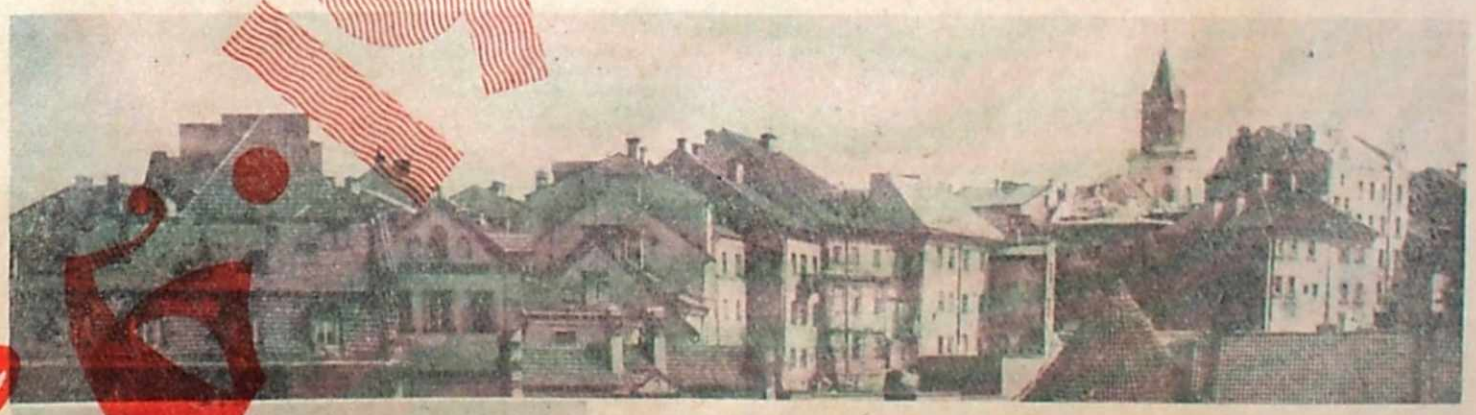

STARY I NOWY LUBLIN

Fot. Andrzej Polakowski

KOSYGIN: „Interesy Związku Radzieckiego i Francji są szczególnie bliskie, jeżeli chodzi o zagadnienia Europy, której bezpieczeństwo jest sprawą przede wszystkim samych narodów europejskich... Wizyta generała de Gaulle'a rozpoczyna nową kartę w stosunkach radziecko-francuskich".

DE GAULLE: „Wierzymy, że okres zimnej wojny powinien się zakończyć, że równowaga, jaką, wydawałoby się, utrzymuje ona na świecie, jest chwiejna, oszukańcza i bezpłodna... Wizyta (prezydenta Francji w ZSRR) jest nie tylko gorącą manifestacją przyjaźni francusko-radzieckiej. Świadczy ona o umocaleniu więzi i otwiera nowe drogi współpracy".

Słowa te wypowiedziano na przyjęciu, które Prezydium Rady Najwyższej i rząd radziecki wydały na cześć delegacji francuskiej.

Wizyta prezydenta de Gaulle'a w ZSRR ciągle skupia na sobie uwagę całego świata. Czas pokaże, czy będzie ją można uznać za przełomowy moment w powojennej historii Europy. **Niezależnie jednak od rozwoju dalszych wydarzeń nawiązanie dialogu między ZSRR a Francją, i to na najwyższym szczeblu, ma niezwykle doniosłe znaczenie dla wszystkich narodów zainteresowanych sprawą utrwalenia pokoju.**

Wspólna deklaracja podpisana w Moskwie podkreśla, że rozmowy upłynęły w atmosferze wielkiej serdeczności, odpowiadającej stosunkom przyjaźni i historycznym więzom istniejącym między obu krajami. Dały one możność dokonania pożytecznej i wnikliwej wymiany poglądów na temat doniosłych problemów polityki międzynarodowej oraz stosunków radziecko-francuskich.

Oba rządy są zgodne co do tego, że problemy Europy powinny być rozważone przede wszystkim w ramach europejskich. Wypowiedziały się one za tym, aby państwa kontynentu europejskiego dokładały starań w celu stworzenia warunków niezbędnych do osiągnięcia porozumień, jakie należy zawrzeć, a w szczególności za tym, by zapewniona została atmosfera odprężenia między krajami Zachodu i Wschodu, ponieważ atmosfera taka pomagałaby w zbliżeniu i porozumieniu między nimi, sprzyjałoby to rozpatrzeniu i uregulowaniu wyłaniających się problemów. **Dla Związku Radzieckiego, jak i dla Francji, pierwszym celem w tym sensie jest normalizacja stosunków między wszystkimi krajami europejskimi z poszanowaniem niezależności każdego z nich i nieingerowaniem w ich sprawy wewnętrzne, a następnie — stopniowy rozwój tych stosunków.**

Oba rządy rozpatrzyły sytuację w Azji południowo-wschodniej. Zaostrzająca się wojna w Wietnamie prowadzi do coraz większego zachwiania sytuacji w państwach sąsiednich — Kambodży i Laosie. **Rząd radziecki i rząd francuski nadal uważają, że jedynym możliwym wyjściem z takiej sytuacji, stanowiącej groźbę dla pokoju, jest uregulowanie sprawy na podstawie układów genewskich z 1954 r. z wykluczeniem wszelkiej obcej ingerencji w Wietnamie.**

W celu pogłębienia wzajemnego zaufania i rozszerzenia dziedzin porozumienia i współpracy radziecko-francuskiej **oba rządy postanowiły prowadzić nadal regularne wzajemne konsultacje.** Umocnieniu kontaktów na najwyższym szczeblu służyć będzie **bezpośrednia łączność** między Kremlem a Pałacem Elizejskim.

Deklaracja podkreśla, że obie strony poświęciły wiele uwagi sprawom współpracy handlowej, wymiany w dziedzinie kultury, nauki i techniki. Postanowiono ją rozszerzyć i zwiększyć podjęte już wysiłki w dziedzinie nauczania w każdym z krajów języka drugiego kraju. W tych sprawach podpisano odpowiednie porozumienie jak również porozumienie w sprawie opanowywania przestrzeni kosmicznej.

Przywódcy radzieccy: Breżniew, Kosygin i Podgornyj zostali zaproszeni do złożenia rewizyty we Francji. Zaproszenie zostało przyjęte.

Piszemy te słowa z lipca, dysponując tylko fragmentaryczną oceną, dokonywaną „na gorąco", przez komentatorów prasy zachodniej. **„LA NATION"** stwierdza, że bilans wizyty nie mógłby być bardziej pozytywny. Sprawa niemiecka i wietnamska nie były celem, do którego zmierzano. Chodziło o wywołanie, jakże pożądanego, odprężenia między Wschodem a Zachodem, które jest pierwszym warunkiem wszystkich ewentualnych sojuszów.

„HUMANITE" podkreśla, że wspólna deklaracja **„otwiera nową kartę w historii stosunków pomiędzy obu krajami"** a rozmowy „były poważnym wkładem w porozumienie między obu krajami i polepszenie stosunków Wschód — Zachód". Spotkanie moskiewskie potwierdza, że **„wchodzimy w nową fazę stosunków międzynarodowych i że państwa zachodnie na skutek zmiany układu sił na świecie i pogłębienia się rozbieżności między krajami kapitalistycznymi są zmuszone do zakończenia polityki zimnej wojny i rewizji ich polityki zagranicznej".** „Dokument, który zamyka spotkanie moskiewskie, nie jest jedynie deklaracją zamiarów, ale posiada wartość zobowiązania politycznego, nowej orientacji narzuconej przez istniejące warunki".

A oto kilka charakterystycznych uwag prasy zachodnioniemieckiej:

„KOELNISCHE RUNDSCHAU": „Najważniejszym politycznym rezultatem wizyty de Gaulle'a w Moskwie są uzgodnione między obu rządami konsultacje".

„DER TAGESSPIEGEL": „Moskwa, inaczej niż inne państwa, uznała de Gaulle'a za przedstawiciela wielkiego mocarstwa, który odgrywa decydującą rolę w sprawach wojny i pokoju, co najmniej w Europie".

„TELEGRAF": „W Moskwie podpisano oświadczenie, które nie jest bardzo oddalone od nowego paktu francusko - radzieckiego".

„NEUE RHEIN RUHR ZEITUNG": „Podziurawiona już żelazna kurtyna dzięki de Gaulle'owi stała się jeszcze bardziej przejrzysta".

„DIE WELT": „Rząd federalny... w świetle podróży de Gaulle'a do Moskwy powinien na nowo przemyśleć swój stosunek do Francji".

— o —

Opublikowanie deklaracji moskiewskiej zbiegło się z inną informacją. Oto lotnictwo amerykańskie dokonało zbrodniczego nalotu bombowego na przedmieścia Hanoi i Hajfongu. Należy to ocenić jako nowy krok w eskalacji wojny w Wietnamie. Na całym świecie rozległy się głosy protestu. Nawet premier brytyjski Wilson, dotychczas popierający agresywne posunięcia USA na Półwyspie Indochińskim, odciął się od tej akcji.

W sytuacji, gdy imperializm amerykański balansuje na krawędzi ogólnoświatowego kataklizmu, rozmowy radziecko-francuskie, zgodność poglądów obu rządów na sytuację w Wietnamie, nabierają szczególnie doniosłego znaczenia.

Fakty i mrzonki

Notes niemiecki

NIEDAWNO zdarzył się w ONZ drobny, ale charakterystyczny wypadek. Na zebraniu Komitetu Dekolonizacyjnego 24 państw doszło do dość nieoczekiwanego wniesienia na porządek obrad sprawy niemieckiej. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie fakt, że Komitet zajmował się w tym momencie akurat sprawą Rodezji. Jak doszło do tego wypadku?

W początkach maja minister spraw zagranicznych NRD, Otto Winzer, nadesłał na ręce przewodniczącego Komitetu 24 pismo, w którym poinformował go, że rząd NRD całkowicie podporządkował się zaleceniom Rady Bezpieczeństwa i Zgromadzenia Ogólnego w sprawie bojkotu Rodezji i nie utrzymuje z reżimem Smitha żadnych stosunków. Pismo zawierało prośbę, aby jego treść „została podana do wiadomości" członkom Komitetu 24. Sformułowanie to sprawiło, że przewodniczący Komitetu polecił powielić 24 kopie pisma ministra Winzera i nieoficjalnie rozdał je delegatom. Z tego rodzaju inicjatywy nie pozostaje jednak w dokumentacji Komitetu żaden trwały ślad.

W tej sytuacji na następnym posiedzeniu delegat Bułgarii wystąpił z przemówieniem, w którym podkreślił konieczność ścisłego przestrzegania bojkotu Rodezji, przy czym przytoczył niemal w całości tekst pisma NRD. Wystąpienia takie notowane są skrupulatnie w protokółach Komitetu. Koła zachodnie, które popierają roszczenia NRF do nieuznawania Niemieckiej Republiki Demokratycznej, pośpieszyły z zakwestionowaniem wystąpienia bułgarskiego, stwierdzając „*w sprawie formalnej*", że „*NRD nie jest państwem i prywatna korespondencja pana Winzera nie interesuje członków Komitetu*".

Tu jednak zaoponowały delegacje afrykańskie. Ich zdaniem każdy delegat ma prawo mówić to, co uważa za stosowne. Przedstawiciel Tanzanii stwierdził przy tym, że meritum obrad Komitetu dotyczy Rodezji, a nie NRD i członkowie wysłuchując uwag ministra Winzera nie zobowiązują się do żadnego określonego stanowiska na temat „*istnienia czy nieistnienia NRD*".

W rezultacie cały tekst pisma NRD znalazł się w dokumentach ONZ. W sumie jest to incydent marginesowy, warto go jednak odnotować jako dalszy przejaw stopniowej zmiany klimatu wobec Niemieckiej Republiki Demokratycznej.

Niemcy zachodnie i ich zachodni sojusznicy od lat prowadzą politykę nieuznawania Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Jest to ta sama polityka, która każe Stanom Zjednoczonym nie uznawać istnienia Chin Ludowych, Wietnamu Północnego, Demokratycznej Korei Ludowej czy socjalistycznej Kuby, polityka hamowania i zwalczania wszelkich postępowych ruchów i postępowych zmian społecznych. W wypadku NRD sprawa ma dodatkowy posmak. Niemiecka Republika Demokratyczna powstała jako państwo, którego zasady ustrojowe i kierunek polityki zagranicznej zgodny jest z duchem i literą Układu Poczdamskiego, rząd boński natomiast stanowi tego układu całkowite zaprzeczenie. Nic więc dziwnego, że Niemcy zachodnie tak zaciekle zwalczają NRD widząc w jej istnieniu żywe niebezpieczeństwo dla siebie. „*W oczach NRF i jej sojuszników* — pisała niedawno amerykańska gazeta „Washington Post" — *choć Niemcy wschodnie stanowią kraj o 17 mln mieszkańców z własną armią, własną walutą, rządem i innymi tego rodzaju atrybutami państwa suwerennego, to ciągle jeszcze nie reprezentują one wiele więcej niż znaczny obszar kontrolowanego przez Związek Radziecki terytorium niemieckiego. Jednakże ten pogląd staje się coraz bardziej dyskusyjny*".

Wiele państw, poza krajami socjalistycznymi, nigdy nie wyznawało tego poglądu, dlatego mimo nie przebierającego w środkach nacisku NRF utrzymują one stosunki ekonomiczne i dyplomatyczne z NRD. Wiele państw wyłamało się spod zachodniej presji stosunkowo niedawno. Można tu przytoczyć przede wszystkim przykład grupy krajów arabskich, które zerwały stosunki z rządem bońskim gdy pozwolił sobie zaprotestować przeciwko współpracy tych krajów z socjalistycznymi Niemcami. Niestety, są kraje, które nadal nie chcą uznać realnych faktów i ze szkodą dla sprawy zbliżenia międzynarodowego popierają zachodnioniemiecką tezę o nieistnieniu NRD.

Nie znaczy to, że nic się nie zmienia w ich stosunku wobec tego problemu. Fakty działają coraz bardziej na niekorzyść polityki Niemiec zachodnich, rozwój sytuacji w NRD i jej działalność na arenie międzynarodowej świadczy przeciwko bzdurnej tezie Bonn.

Niedawno rząd Niemieckiej Republiki Demokratycznej wniósł za pośrednictwem Polski prośbę do ONZ o przyjęcie NRD w poczet członków tej organizacji. Prośba spotkała się z reakcją, która wykazała, jak anachroniczne i słabe są pozycje, zajmowane przez mocarstwa zachodnie i ich zachodnioniemieckiego sprzymierzeńca. Charakterystyczny dla tych tendencji jest komentarz, jaki na marginesie prośby NRD zamieścił dziennik „The Christian Science Monitor": „*Umiarkowany ton wniosku i spokojne stanowisko przejawiane po jego złożeniu skoncentrowały już poważne zainteresowanie na Niemczech wschodnich i na ich stosunku do przyszłego uregulowania stosunków w Europie. Stworzyło to dalej bazę dla prawdopodobnych nowych wysiłków Niemiec wschodnich, aby nakłonić inne narody poza Europą do przełamania zachodnioniemieckiej doktryny Hallsteina i zaryzykowania uznania wschodniego reżimu*".

Trzy dni trwały narady przedstawicieli mocarstw zachodnich nad zredagowaniem oświadczenia. To, co przeniknęło na zewnątrz, świadczy o całkowitym braku zgodności stanowisk. Wreszcie komunikat został opublikowany. Poza stwierdzeniem, że delegacje USA, Anglii i Francji za jedynego reprezentanta Niemiec uznają NRF i w związku z tym Niemiecka Republika Demokratyczna nie może być dopuszczona do Narodów Zjednoczonych, oświadczenie pominęło milczeniem wszystkie pretensje, jakie wysunął przedstawiciel Niemiec zachodnich. W ONZ natychmiast uznano, że opublikowanie tego rodzaju oświadczenia stanowi cios prestiżowy dla NRF i niemal otwarte przyznanie całkowitego braku zgodności między stanowiskiem NRF z jednej strony, a pozostałych sojuszników zachodnich z drugiej. Opublikowany komunikat nie ustosunkował się w ogóle do rzeczowych i merytorycznych argumentów zawartych w memorandum NRD i nie wyraził żadnego sprzeciwu wobec przyjęcia przez U Thanta dokumentów rządu NRD.

Pierwsza runda skończyła się przegraną NRF. Wokół wniosku Niemieckiej Republiki Demokratycznej toczą się w ONZ liczne rozmowy, uzgadnia się stanowiska, opracowuje taktykę postępowania. Niezależnie od dalszych losów wniosku, już obecnie można stwierdzić, że inicjatywa NRD spełniła niezwykle pożyteczną rolę. Zwróciła ona uwagę na nienormalną sytuację, w której całkowicie suwerenne państwo pozbawione jest członkostwa ONZ.

(jb)

JAN BRZECHWA NIE ŻYJE

2 lipca zmarł w Warszawie Jan Brzechwa, znany poeta, satyryk, tłumacz, autor książek dla dzieci.

Był nie tylko pisarzem, ale również czynnym działaczem społecznym, zaangażowanym przez wiele lat w pracy i działalności Związku Literatów Polskich, Pencluba, Związku Autorów i Kompozytorów Scenicznych, Rady Kultury przy Ministerstwie Kultury, Międzynarodowej Komisji Prawa Autorskiego. Był laureatem nagrody literackiej m. Warszawy oraz nagrody prezesa Rady Ministrów za twórczość dla dzieci, kawalerem Orderu Odrodzenia Polski i laureatem nagrody państwowej I stopnia.

Przegląd PRASY

W PRZEPROWADZONEJ przed rokiem kampanii wyborczej zgłoszono na ręce kandydatów na posłów i radnych 140000 postulatów i wniosków. Ogromna ich część była słuszna, w większości realna, tym bardziej, że ich wykonanie leżało w możliwościach władzy terenowej. Postulaty te stanowiły wyraz potrzeb społecznych, wynikały z niezaspokojenia potrzeb w różnych dziedzinach życia społecznego. Jaki był dalszy bieg wniosków, co z tego wynikło? Odpowiedzi na te pytania próbuje szukać **T. Kołodziejczyk** w artykule **„Losy postulatów"**, ogłoszonym w **„Polityce"**. Autor zwraca uwagę na zdarzające się przypadki „odfajkowywania" sprawy, bez głębszej analizy wniosków. Dotyczy to zwłaszcza organów centralnych. Ale i w terenie spotyka się zjawiska mało pocieszające. Oto przykład: w jednym z wielkich zakładów na spotkaniu mówiło się o potrzebie wyrównania poziomu płac między zakładami tego samego zjednoczenia, zmiany taryfikatora płac, ulepszenia pracy, zamiany mieszkań oraz o innych ważnych sprawach, m. in. o poprawie komunikacji miejskiej.

„*W protokóle z tego spotkania zamieszczono j e d e n postulat, a brzmi on:*

„*Zmienić tablice informacyjne w tramwajach oraz sposób ich zawieszenia. Obecne tablice są pogięte, poobijane, w tłoku można się pokaleczyć o haczyki, na których wiszą. Większą uwagę zwrócić na czystość w tramwajach*".

Autor widzi potrzebę wglądu czynnika społecznego w treść i sposób załatwiania postulatów, aby nie zostawić ich losu w rękach biurokratów. Wnioski są więc logiczne i oczywiste:

„*Skoro postulaty stały się już trwałą praktyką w naszym życiu społecznym, niemal instytucją zapewniającą wyborcom wpływ na działanie swej władzy terenowej, skoro nie stały się okazją do załatwiania bardzo osobistych jednostkowych spraw, skoro dzięki nim ujawniają się społeczne potrzeby, a jednocześnie niedomogi aparatu administracyjnego i gospodarczego, skoro są to postulaty ludzi, którzy chcą, by w ich mieście, powiecie i kraju żyło się lepiej, dostatniej i mądrzej — nie pozostaje nic innego, jak wyciągnąć z tych faktów w s z y s t k i e wnioski.*

Dotyczy to bowiem całokształtu stosunków obywatela z władzą. Że nie zawsze stosunki te są sielankowe i to nie zawsze z winy obywatela, co pewien czas się przekonujemy. **M. Wierzyński** przytacza w **„Kulturze"** przykład z terenu Rzeszowa w reportażu **„Spóźniona sprawiedliwość"**. Przykład drobny, ale problem bardzo rozległy. Osiem lat temu rodzina Skotnickich otrzymała od właściwych władz rzeszowskich zezwolenie na budowę domu jednorodzinnego. W 1963 r., wkrótce po wprowadzeniu się do nowego domu, przychodzi zawiadomienie, że dom ten zostanie rozebrany, bowiem przewidziane jest tam nowe wielkie osiedle mieszkaniowe. Nie ma co powtarzać za autorem całego przebiegu sprawy, która oparła się aż o ministerstwo. Stanęło ono po stronie obywatela budującego swój dom legalnie. Winę ponoszą natomiast władze budowlane za bałagan. Opinia reportera uzasadnia to stanowisko:

„*Rozebranie domu będzie oznaczało przekreślenie dorobku całego życia dwojga starych, dziś już ciężko schorowanych ludzi. Co gorsza, będzie oznaczało podrywanie wiary w skuteczność dochodzenia swoich praw przez pojedynczych obywateli, kiedy niezawinione przypadki postawią ich w konflikcie z urzędem (...).*

Sprawy zaszły już tak daleko, że każda decyzja będzie wyborem między dwiema złymi możliwościami. Ale biegu wypadków odwrócić nie można. Pozostaje tylko wymierzenie sprawiedliwości. Pozostawienie domu Skotnickich na terenie osiedla albo wybudowanie im nowego domu gdzieś poza osiedlem będzie jedynym słusznym werdyktem.

Niewygodnym dla ojców miasta i spóźnionym wobec mieszkańców domu".

A teraz przejdźmy w inne regiony, bliżej literatury. W **„Przeglądzie Humanistycznym" A. Drawicz**, w szkicu **„Gałczyński po wojnie"** podejmuje próbę nowego określenia sytuacji tego niezwykłego poety. Śledzi kolejne przemiany w jego twórczości, dochodzenie do pełnej dojrzałości. Pośmiertne losy Gałczyńskiego biegną od fascynacji czytelników i niesłychanej popularności do pewnego wyrównania fali zainteresowania i stabilizacji sławy poety. Pisze Drawicz:

„*Jest pewne, że poezja współczesna jako całość ma mu wiele do zawdzięczenia. W latach ciągłego, dziś niewątpliwie przyśpieszonego redukowania jej zasięgu, zdobył jej wielką ilość czytelników i słuchaczy, kształcąc ich wrażliwość na formy nowsze, na skojarzenia śmielsze, na obroty energiczniejsze, zaszczepiane na pniu poetyckiej tradycji (...). W pewnym sensie jest już dzisiaj Gałczyński cząstką świadomości społecznej, stylem, widzeniem świata; został wessany przez krwiobieg naszej współczesności, jego substancje poetyckie krążą w nim już bezimiennie. Współczesny czytelnik odnajduje w nim na zasadzie rekompensaty elementy oczyszczenia i uspokojenia, autentyzm prostych uczuć i elementarnych wartości — których brakuje mu zarówno w zgiełku, przyśpieszonym rytmie i potężniejących groźbach współczesnego świata, jak i we współczesnej poezji, coraz trudniejszej i bardziej skomplikowanej*".

T. K.

WŁADYSŁAW KOZDRA
I sekretarz KW PZPR w Lublinie

DZIEDZICTWO KULTURALNE LUBELSZCZYZNY

(Z wystąpienia na wojewódzkim sejmiku działaczy kulturalno-oświatowych)

TRWAJĄCE od sześciu lat obchody Tysiąclecia Państwa Polskiego stworzyły całemu narodowi wyjątkowe warunki dla odnowienia w pamięci i głębszego poznania tych wszystkich dokonań, które w ciągu minionych wieków kształtowały byt i dzieje narodu polskiego, jego drogę historyczną, jego wielkie tradycje państwowe, polityczno-społeczne, gospodarcze, kulturalne.

W toku sesji naukowych i popularnonaukowych, za pośrednictwem radia, telewizji, filmu, prasy i książki, na festiwalach, wystawach i imprezach kulturalno-oświatowych, podczas lat i dni poświęconych poszczególnym województwom, ziemiom, regionom, miastom i wsiom, w czasie uroczystych obchodów rocznic pamiętnych wydarzeń — przeszłość narodowa, historia, zbliżając się do społeczeństwa i przyjmując jego hołd, daje mu w zamian bogactwo wiedzy o narodowym dziedzictwie, ukazuje mu związki łączące teraźniejszość z przeszłością, aby mogło z pełną świadomością konsekwencji dziejowych kształtować dziś i jutro narodu i państwa polskiego.

Gruntowne poznanie przeszłości, wiedza o źródłach, przyczynach i sposobie powstawania tego, co było w tej przeszłości dobre, wielkie i piękne, oraz tego, co było bolesne, złe i niesprawiedliwe, jest nam, społeczeństwu Polski Ludowej, szczególnie niezbędna, ponieważ przyjęliśmy na siebie zadania, jakich żadne z przeszłych pokoleń przyjąć nie mogło i nie zdołało, ponieważ dokonaliśmy wielkiego zwrotu w historii ojczystej i budujemy nową Polskę w oparciu o najszczytniejsze idee ludzkości, ponieważ chcemy stworzyć nie tylko na dziś i jutro, ale na całą przyszłość trwałe warunki narodowej pomyślności, wykuć niewzruszone podstawy rozkwitu polskiego bytu państwowego i społecznego, polskiej gospodarki i kultury.

Z doświadczeń przeszłości, z blasku lat chwały, z lat cierpień i poniżenia narodowego czerpiemy nauki i siły do tej wielkiej pracy, jaka nam przypadła.

Wydobywając z naszej historii wszystkie trwałe wartości, czcząc jej pomnikowe wydarzenia, ze szczególną wnikliwością patrzymy na nasze dzieje najnowsze, bilansujemy dorobek Polski Ludowej we wszystkich dziedzinach życia, przykładamy go do dorobku przeszłych wieków, aby drogą porównań umacniać się w przekonaniu, że nasza praca jest urzeczywistnianiem najlepszych dążeń narodowych ubiegłego Tysiąclecia, aby umacniać się w pewności, że nasz wkład w dzieje narodu jest wkładem na miarę potrzeb czasu, w którym żyjemy, aby umacniać jedność naszych wysiłków.

Jedną z dziedzin naszego życia, w której Polska Ludowa ma największe osiągnięcia, jest twórczość i działalność kulturalna.

Świat zna i ceni naszą współczesną literaturę, naszą grafikę, malarstwo i rzeźbę. Na najsłynniejszych estradach świata, na najbardziej renomowanych scenach występują dzisiaj polskie zespoły pieśni i tańca „Mazowsze", „Śląsk", polscy dyrygenci, muzycy, śpiewacy, aktorzy.

Staliśmy się w okresie władzy ludowej eksporterem kultury, rośnie nasz wkład w dzieło tworzenia współczesnej kultury ogólnoludzkiej.

Zbliżający się Kongres Kultury Polskiej dokona więc wszechstronnej oceny naszego dorobku kulturalnego i wytyczy cele i kierunki polskiej twórczości kulturalnej.

Bogata przeszłość

Historia nieraz obchodziła się z Ziemią Lubelską po macoszemu. Jednakże, mimo licznych kataklizmów dziejowych, które niezależnie od tragedii całego narodu nawiedzały nasz region, mimo wielowiekowego zacofania ekonomicznego, które zepchnęło nas w okresie dwudziestolecia międzywojennego na peryferie zwane „Polską B", mimo ogromnych strat ludzkich i materialnych w czasie II wojny światowej — Ziemia Lubelska zapisała wiele pięknych kart w historii ojczystej.

Jak świadczą wykopaliska w Strzyżowie, na terenach obecnego województwa już ponad 3500 lat temu mieszkały plemiona słowiańskie, reprezentujące na ówczesne warunki wysoki poziom kultury.

W połowie VII wieku naszej ery — powstał Lublin. Tędy przebiegał wielki szlak handlowy prowadzący z Gdańska do Morza Czarnego. Tu — zwłaszcza od chwili przyznania Lublinowi praw miejskich w 1317 r. i mianowania go stolicą województwa w 1474 r. — organizowano słynne jarmarki, ściągające liczne rzesze kupców z całej Europy. Kwitło też rzemiosło, powstawały cechy, rozwijały się ośrodki kultury.

Lublin niejednokrotnie był miejscem historycznych wydarzeń. Tu podpisano umowę o ślubie Władysława Jagiełły z królową Jadwigą i powołaniu go na tron Polski. Tu zawarto Unię Lubelską. Lublin był też siedzibą najwyższej instancji sądowniczej — Trybunału Koronnego, jak też miejscem licznych sejmików i zjazdów. Później spotkał go zaszczyt dwukrotnej nominacji na stolicę Polski.

Tysiące synów Lubelszczyzny oddało życie w walce o wolność narodową i społeczną: w powstaniach listopadowym i styczniowym, w walce z sanacją, w obronie zagrożonego kraju, w partyzantce, w obozach śmierci, w walce o utrwalenie władzy ludowej.

Tak, jak wielki jest wkład Lubelszczyzny w dzieło budowy Polski Ludowej, tak też nie można lekceważyć jej osiągnięć w dziedzinie kultury, osiągnięć na skalę krajową, których w ciągu wieków było wystarczająco dużo, by móc bez cienia lokalnego patriotyzmu stwierdzić, że w przeciwieństwie np. do przemysłu nie tylko nie byliśmy na przysłowiowym „szarym końcu", ale niejednokrotnie byliśmy pionierami, szermierzami postępu, propagatorami dobrej pracy kulturalno-oświatowej. Dzieła stworzone przez wielu naszych pisarzy i artystów należą do czołowych osiągnięć kultury narodowej.

Lublin już w XVI w., zaraz po Krakowie i Gdańsku, jako jedno z pierwszych miast w Polsce wprowadził druk. Z narodzinami drukarstwa wiążą się dzieje lubelskiej prasy. Już na blisko 100 lat przez „Merkuriuszem", wydanym w 1567 roku, ukazał się druk ulotny pt. „Nowiny lubelskie". Prasa lubelska może się poszczycić czynnym udziałem w pracach rad delegatów robotniczych w 1919 r. Wtedy powstał pierwszy w Polsce organ rad „Wiadomości Rady Delegatów Robotniczych w Lublinie". Staraniem KPRP ukazywał się tygodnik „Prawda Komunistyczna".

Międzywojenne dwudziestolecie przyniosło przede wszystkim narodziny lubelskiej prasy literackiej. Po próbach z „Lucyferem", „Reflektorem", „Nowym Życiem" i dodatkach literackich do pism codziennych — w 1933 r., w Chełmie, narodziła się „Kamena", która dziś jest najstarszym tego typu pismem w Polsce.

Podczas wojny Lublin był największym po Warszawie ogniskiem prasy konspiracyjnej w kraju, a w lipcu 1944 r. stał się kolebką prasy Polski Ludowej. Obecnie dwie lubelskie gazety codzienne „Sztandar Ludu" i „Kurier Lubelski", należą w swych grupach do czołówki dzienników wojewódzkich.

Tradycje literackie

Powszechnie w kraju ceni się i szanuje lubelskie tradycje literackie. Autorem pierwszej książki wydanej w języku polskim pt. „Raj duszny" (1513 r.) jest Biernat z Lublina. Bliskie związki łączą Lubelszczyznę z najwybitniejszymi poetami epoki Odrodzenia, twórcami literackiego języka polskiego Janem Kochanowskim i Mikołajem Rejem. Jeszcze mocniej związani byli z Lublinem: Sebastian Fabian Klonowic — poeta, radca i burmistrz, który właściwie pierwszy opiewał w literaturze piękno naszego miasta i Szymon Szymonowic, najwybitniejszy polski sielankopisarz, współorganizator Akademii i drukarni w Zamościu.

W okresie walk religijnych na Ziemi Lubelskiej znaleźli schronienie arianie, którzy tu budowali zbory, prowadzili dysputy i walczyli o postęp społeczny. Były wśród nich takie indywidualności, jak Marcin Czechowic i Erazm Otwinowski.

Epoka Oświecenia i początki Romantyzmu zgrupowały na Lubelszczyźnie niemal wszystkich wybitnych pisarzy Polski. Przez dwór Czartoryskich w Puławach przewinęli się: Ignacy Krasicki, Julian Ursyn Niemcewicz, Stanisław Trembecki, Franciszek Żabłocki, Franciszek Karpiński, Kajetan Węgierski, Kajetan Koźmian, Adam Naruszewicz, Grzegorz Piramowicz, Łukasz Gołębiowski, Feliks Bernatowicz, Klementyna z Tańskich Hoffmanowa i inni.

Z Lubelszczyzną związani byli także: Aleksander Fredro, Stanisław Kostka Potocki, nieco później filomata Onufry Pietraszkiewicz i Wincenty Pol. Tutaj wiele czasu spędził Stanisław Staszic, zostawiając po sobie nie tylko dzieła literackie i naukowe, lecz również trwały pomnik społeczno-gospodarczy w postaci założonego przez siebie Towarzystwa Rolniczego w Hrubieszowie.

Silne więzy łączyły z naszym regionem Józefa Ignacego Kraszewskiego, który poświęcił Lublinowi i Lubelszczyźnie dziesiątki pięknych opisów.

Z wojewódzkiej szkoły lubelskiej u schyłku XIX stulecia, wyszło wielu wybitnych uczonych i pisarzy, wśród nich Wacław Nałkowski, prekursor marksistowskiej krytyki literackiej, ojciec polskiej geografii.

Na przełomie XIX i XX wieku więzy pochodzenia lub działalności łączą z Lubelszczyzną całą plejadę najlepszych pisarzy. Nazwiska Henryka Sienkiewicza, Bolesława Prusa, Stefana Żeromskiego, Aleksandra Świętochowskiego, Klemensa Junoszy Szaniawskiego, Marii Konopnickiej, Narcyzy Żmichowskiej, Andrzeja Struga, Wacława Sieroszewskiego i wielu innych mówią same za siebie.

Ten „złoty wiek" literatury lubelskiej godnie kontynuowali w okresie międzywojennego dwudziestolecia tacy poeci, jak: Józef Czechowicz, Bolesław Leśmian, Franciszka Arnsztajnowa, Kazimierz Andrzej Jaworski, założyciel „Kameny", który i dzisiaj twórczo pracuje.

Trzeba też wspomnieć o literaturze ludowej, którą reprezentują Kajetan Sawczuk, Jakub Racborski i Stanisław Bojarczuk, a z żyjących przede wszystkim Jan Pocek.

Dzięki opiece władzy ludowej poezja ludowa znalazła w Lublinie opiekę i zrozumienie, co pozwoliło na powołanie do życia Międzywojewódzkiego Klubu Pisarzy Ludowych, zrzeszającego już dziś 100 członków ze wszystkich województw.

Trwałe podstawy do dalszego rozwoju literatury lubelskiej gwarantuje istnienie „Wydawnictwa Lubelskiego" i „Kameny".

Społecznym wysiłkiem

Niemałe osiągnięcia ma Lubelszczyzna i w innych dziedzinach kulturalnych. Muzycy: Henryk Wieniawski, Karol Lipiński, Stanisław Serwaczyński rozsławili Polskę na całym świecie. Osobne słowa należą się Kapeli Ludowej Karola Namysłowskiego, która istnieje od 1880 r. i ma na swoim koncie setki występów w kraju i za granicą.

Do tych pięknych tradycji nawiązuje niewątpliwie Aleksander Bryk, najwybitniejszy obecnie kompozytor lubelski.

Teatr lubelski nieraz gościł największych mistrzów sceny polskiej, z Solskim, Osterwą, Leszczyńskim, Siemaszkową, Wysocką i Ćwiklińską na czele, a po wyzwoleniu był kolebką teatru Polski Ludowej.

Skromniejsze są nieco osiągnięcia plastyki, ale i w tej dziedzinie Norblin, Andrelli, Karmański i inni zaszerzynie się zapisali swą twórczością.

Ogromne zasługi dla rozwoju czytelnictwa na Lubelszczyźnie położyła też Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna, która nosi imię Hieronima Łopacińskiego, wielkiego działacza kultury naszego regionu.

Nie można też zapomnieć o działalności Towarzystwa Przyjaciół Nauk, o próbach zorganizowania ruchu regionalistycznego, któremu patronował Feliks Araszkiewicz, o próbach aktywizowania prowincjonalnych małych miasteczek przez działalność kulturalną, jak np. w Zamościu, gdzie działał lekarz-społecznik dr Zygmunt Klukowski.

Wszystkie te wysiłki na dłuższą metę nie miały jednak większych szans powodzenia, gdyż brak było stałego zabezpieczenia finansowego, bazy materialnej dla krzewienia kultury. Wszystko właściwie zależało od dobrej woli społeczeństwa agitowanego przez jednego lub kilku entuzjastów. Zapałem i ofiarnością usiłowano pokrywać te braki. Powstały towarzystwa kulturalno-oświatowe, organizowano najrozmaitsze kursy i imprezy, obchody rocznic narodowych, z dużym pietyzmem przygotowywano zjazdy i wydawnictwa okolicznościowe.

Gdybyśmy chcieli w kilku słowach scharakteryzować dorobek kultury lubelskiej do roku 1944, trzeba by podkreślić przede wszystkim fakt, że to, co najwartościowsze, powstało niemal bez wyjątku w okresach bardzo trudnych dzięki ofiarności i zapałowi społeczeństwa.

Następnie Władysław Kozdra szczegółowo scharakteryzował osiągnięcia na polu kultury w okresie Polski Ludowej. Ten temat omawialiśmy już niejednokrotnie na łamach „Kameny" i będziemy do niego wracać w przyszłości. W zakończeniu swego wystąpienia na wojewódzkim sejmiku działaczy kulturalno-oświatowych I sekretarz KW oświadczył m. in.:

Wszystkie wartości kulturalne, które ostały się od zapomnienia, które do dziś są świadectwem naszej wielkości, rodziły się i tworzyły w walce naszego narodu o zabezpieczenie swego bytu, o postęp społeczny i niepodległość, wyrażały racjonalistyczną i rewolucyjną myśl polityczną.

Jeśli więc dziś, w roku Tysiąclecia państwowości polskiej, w przededniu Kongresu Kultury Polskiej, chcielibyśmy oddać najgłębszy sens obchodów Tysiąclecia Państwa Polskiego, to tkwi on niewątpliwie w konieczności dalszego skupienia całego społeczeństwa pod sztandarami naszych ideałów.

Kultura w tej mierze ma wielką rolę do spełnienia. Może ona i powinna tylko jej właściwymi środkami wyrazu kontynuować najlepsze tradycje, z nie mniejszą niż w przeszłości żarliwością służyć sprawie narodu, wspomagać bieg procesów rozwojowych, zespalać los jednostki z wielką problematyką społeczną, uczestniczyć w budowie nowego ustroju i zaspokajać zwykłą ludzką, codzienną potrzebą piękna i wypoczynku po pracy.

Współczesność historii

(Ciąg dalszy ze str. 1)

pod wpływem przeżyć kraju. Doświadczenie to każe z największą nieufnością traktować uroki tak zwanej myśli imperialnej. Mieliśmy okazję przyjrzeć się z bliska skutkom rozmaitych porywających zamierzeń. Widok był tego rodzaju, że skłonności do euforii powinny wygasnąć raz na zawsze, ustępując miejsca szacunkowi dla umiaru. Umiejętność rzetelnej oceny możliwości musi być uznana za najwyższą z cnót politycznych. Działacz, który jej nie posiada, przypomina fizyka nie uwzględniającego w rachunkach prawa tarcia". Podstawmy zamiast słowa „działacz" określenie „pisarz", byśmy w pełni zrozumieli postępowanie Jasienicy jako publicysty.

Ale z publicystyką, do której będzie wciąż powracał, rozstał się Jasienica właściwie w latach pięćdziesiątych z przyczyn od siebie niezależnych. Przerzucił się po wyjściu z więzienia na reportaż, dobijając się niebawem pierwszej książki w 1951 roku, a mianowicie tomu wrażeń i rozmyślań z podróży po Kieleczczyźnie „Wisła pożegna zalcianek". Pisał tę pracę Jasienica krwią serdeczną, ponieważ pisał o tym, co go bolało, o wiekowym zaniedbaniu tej pięknej ziemi, z którą był związany przez pobyt najbliższej rodziny w Szczekocinach. Zmysłem historyka w planach przeobrażeń przemysłowych naszego kraju dostrzegł autor „Myśli o dawnej Polsce" wielką szansę przemian ukochanych przez siebie stron. Reportaż to ciężki kawałek chleba, wymagający od pisarza nie tylko sugestywnego talentu, ale i osobistej energii, trudu poszukiwania i często nadaremnego ślęczenia całymi godzinami, aby wyłowić z nich zaledwie jedno zdanie.

Jasienica poświęcił się reportażowi z ośrodków naukowych, pisał o pracach Zakładu Mikrobiologii Lekarskiej we Wrocławiu, na którego czele stał wielki uczony prof. Hirszfeld. W lutym 1954 roku Zakład podniesiony został do godności Instytutu Polskiej Akademii Nauk, a 10 marca 1954 roku tłumy zapełniające ulicę Chałubińskiego, jak pisze Jasienica w swej „Opowieści o żywej materii", dowiedziały się, że na mocy uchwały Prezydium Akademii nazwa Zakładu będzie odtąd brzmieć następująco: Instytut Immunologii i Terapii Doświadczalnej PAN imienia Ludwika Hirszfelda. Stało się to w dniach pogrzebu znakomitego uczonego. Na akademii żałobnej przemówił także rektor Stanisław Kulczyński. *„Istnieje* — powiedział — *materializm płytki i wulgarny, który ciągle powtarza, że śmierć unicestwia każde życie, przerywa i niszczy najbardziej cenną pracę. Istnieje jednak inny jeszcze materializm, taki, który uczy dialektycznie ujmować i rozumieć zjawiska. I ten nam powiada, że śmierć jest bardzo słabym trybutem składanym przez człowieka otoczeniu. O ileż silniejszy bywa trwały wpływ życia ludzkiego na otoczenie".* Te słowa opatrzył autor „Opowieści o żywej materii" lapidarnym komentarzem: wielka prawda! Ale później skarżył się w przytoczonym już wywiadzie, że potworną pracą jest nauczenie się przez humanistę tych zupełnie obcych i specjalistycznych rzeczy.

Trafił jednak na swoją specjalność: na archeologię. Był to zresztą okres, w którym rozpoczynała się wielka kariera społeczna tej dziedziny nauki. Państwo łożyło duże sumy na wykopaliska, zaczęło się przekopywanie naszego kraju, historia Polski cofała się o parę wieków wstecz. Raz po razie uczeni odkrywali rewelacje, polska szkoła archeologiczna stała się słynna w całym świecie.

Jasienica pracował nad swą pierwszą książką o tej problematyce, nad „Świtem słowiańskiego jutra". Jeździł po kraju, przebywał tygodnie z archeologami. *„W kilka miesięcy po zwiedzeniu wrocławskich, poznańskich i innych wykopalisk — a ściśle w maju 1952 roku — przyszło mi wycofać cały maszynopis «Świtu». Zawczasu coś przeczuwałem, powiedziałem raz Stanisławowi Witoldowi Balickiemu, który był wtenczas dyrektorem PIW:*

— Zobaczy pan, że nie zdążymy. Zanim się książka ukaże, oni znowu zaczną kopać i bardzo możliwe, że trumnę króla Popiela wykopią".

Urzekła go archeologia, jak i tych, którzy nią się zajęli, i Jasienica w konsekwencji urzekł nią czytelników swoich książek. Bo archeologii i jej rewelacyjnym odkryciom poświęcił autor „Polski Piastów" aż trzy książki. Po „Świcie słowiańskiego jutra" wydał jeszcze zbiór reportaży „Archeologia na wyrywki" (1956), a później, po podróży do Bułgarii i dalszym zapoznaniu się z osiągnięciami naszych uczonych, szczególniej w Wiślicy, Jasienica opublikował głośną książkę „Słowiański rodowód". Umiał połączyć dar popularyzacji z talentem literackim, co sprawiło, że te dzieła czyta się niczym romans kryminalny. Napisane z wyraźnym zamiłowaniem, wiedzą i przekonaniem, książki te sprawiały, że czytelnik porwany uniesieniem ich autora sam pragnął zostać archeologiem. A przecież na dłuższą metę zawód to nudny, wymagający żmudnych wysiłków, które nie zawsze zostają uwieńczone sukcesem. W archeologu tkwi coś z detektywa przeszłości, nawet w ułożeniu warstwic ziemnych potrafi odczytać on to, co dla człowieka postronnego wydaje się nieważne.

Stałem kiedyś nad wykopaliskami w Opolu, w cieniu spalonych latem platanów i patrzyłem na szczątki osiedla wydobytego z tłustej, bagiennej ziemi cierpliwością uczonych. Trzeba mieć dużo wyobraźni, żeby dostrzec romantyzm tego zawodu, niewątpliwie pięknego, ale jakżeż uciążliwego! A Jasienica — zresztą nie tylko on — potrafił przekonać nas o niepowtarzalności przeżyć archeologów, którzy dzięki swoim pracom wykopaliskowym przesunęli czas powstania państwa polskiego o dobre parę wieków. Dokonał on pożytecznej pracy, ukazując i popularyzując wysiłek naukowców, jak najbardziej na to zasługujący. Ale ich osobistym szczęściem jest, że znalazł się pisarz, który to potrafił. Sam Jasienica poprzez archeologię wracał do swoich zamiłowań z lat studiów: do historii.

Zaczął od zagadnień, które mu były najbliższe: od powstania styczniowego, któremu poświęcił swą pracę magisterską na uniwersytecie. Zajął się osobą 22-letniego premiera rządu powstańczego, działacza „czerwonych", Stefana Bobrowskiego, który zginął przecież nie z ręki wroga 12 kwietnia 1863 roku w Lesie Łaszczyńskim pod Rawiczem, lecz w wyniku pojedynku z awanturnikiem, ale działaczem „białych" hr. Grabowskim. „Grabowski" to był także nieszczęśliwie przybrany pseudonim wybitnego radykała szlacheckiego, przejawiającego wielki talent polityczny, Bobrowskiego. Zabijając go, „biali" wiedzieli co czynią. „Biały front" — taki tytuł nosiła ta książka o Bobrowskim, wydana w 1953 roku — był istotniejszy dla oceny sytuacji powstania, aniżeli opis działań militarnych, które właściwie kończyły okres fermentu intelektualnego i politycznego lat sześćdziesiątych XIX wieku. Jasienica skoncentrował się na przedstawieniu wewnętrznej historii powstania, wykazując odwagę cywilną i konsekwencję młodego przywódcy rządu. Po tej monografii, będącej dla Jasienicy książką przełomową, gdyż dzięki niej powrócił on do dawnych zamiłowań i zaczął pisać o historii Polski, pojawiła się następna jego praca o powstaniu, wydana w 1960 roku — „Dwie drogi", jeden z najlepszych, najgłębiej przemyślanych utworów tego autora. Dotyczyła ona również przemian, jakim podlegało społeczeństwo polskie w Królestwie, prze-

(Ciąg dalszy na str. 4)

TADEUSZ PIEKŁO

rąbanie drzewa

naturę rzeczy poznać w słojach
drzewa
sosny płochliwość i uparty jesion
dębu pozorną moc i jodły
zgrzebność
sposobną dyszlom krokwiom i
przyciesiom

przez dłonie wchodzić z żelazem
by patrzeć
czuć opór wiązań — słońca,
ziemi zgrzanej —
to co najprostsze i to co
najrzadsze:
liście rozgarniać dawno
przemyślane

znajdować noce cisze
powstrzymane
ptaka odśpiewać zajrzeć mu do
gardła —
co błysk — to mięśnie czasu
rozsupłane
i kości sęków odarte do światła

Przemyśl

NINA STYKA

Szept

Jest taka noc,
co jest jak dzień,
jest taki dzień,
którego nie ma.

Jest słońca blask,
księżyca cień
i sny odśnione
i myśli sens.

Jest w oczach błysk,
co drży jak liść,
jest nocy szept,
jak dreszcz wzruszenia.

Wtedy się chce
tak samej iść
na brzeg przeciwny
swojego istnienia.

Nisko

KRZYSZTOF ZUCHORA

Sen

Dolinę snu
zaludnia ciemność

wiatr obłamuje
gałązki światła

jeszcze pamięć
rzekę pulsu drąży

powoli
jakby ktoś palec
z ust zdejmował

zewsząd wypełza
cisza

Warszawa

NA TROPIE LIPCA

(Dokończenie ze str. 1)

Jedziemy szosą do Chełma. Najpierw trochę bruku, potem gładka droga. Przed 22 laty droga była gruntowa, pełna wybojów. Ale major-plutonowy szedł wtedy lasem po prawej stronie. Przespali się dobrze w leśniczówce, więc nawet pogwizdywali z radości, chociaż od Chełma coraz częściej odzywała się niemiecka artyleria. Słońce zbliżało się do zenitu, gdy podchodzili w okolice dworca.

— Artyleria niemiecka stała wtedy gdzieś koło cmentarza, na torach jeździł pociąg pancerny — wspomina mój towarzysz. — Ale i nasi zajęli dogodne miejsce. Ta biała ściana, z której dziś cementownia bierze kredę, była wtedy zwykłą górą. Jej zdobycie nie było łatwe, ale dawała ona panowanie nad dużą częścią miasta. Zaciekły opór wroga z czasem słabł, pociąg musiał się wycofać. Minęliśmy rozwalony budynek dworca z prawej strony i zdążaliśmy do śródmieścia. Na moim odcinku walk ulicznych w dosłownym znaczeniu nie było, z potyczek w różnych zakamarkach wychodziliśmy szybko jako zwycięzcy. A jednocześnie nieco się martwiliśmy, bo jeszcze przed dworcem, tuż za dzisiejszą ulicą Rampa Brzeska, granat rozwalił nam kuchnię polową, zabijając trzech kucharzy. To już nawet żenujące wspominać, jak radośnie witała nas ludność, ile otrzymaliśmy kwiatów i pocałunków. Wie pan — prawa wojny są surowe i wiele rzeczy widziałem na trasie Lenino-Berlin. Ale gdy wtedy na chełmskim rynku pokazano mi niekształtne ciałko kilkuletniej dziewczynki, której uciekający oprawcy roztrzaskali głowę o mur, a następnie podeptali nogami — byłem wstrząśnięty jak nigdy. Drugi podobny wypadek widziałem nieco później w Lublinie — tym razem było to ciało chłopca. I te oba przeraźliwe obrazy przypominają mi się zawsze, gdy słyszę coś o przebaczeniu...

Idziemy wolnym krokiem wzdłuż cmentarza, na którym w długich szeregach leżą ciała poległych we wspólnej walce żołnierzy polskich i radzieckich. Przed nami wyrasta piękne osiedle Chełmskiej Spółdzielni Mieszkaniowej. Ze szczytu cmentarnego pagórka widać osiem dymiących kominów cementowni, niemal na odległość rzutu granatem lśnią odbitymi promieniami słońca wielkie szyby Powiatowego Domu Kultury.

— Wie pan — mówi major — dopiero gdy sobie przypomnę tamten lipiec widzę, jak bardzo zmieniło się miasto. Od kilku lat bywam tu dość często i przyzwyczaiłem się już do tych zmian, na co dzień prawie ich nie dostrzegam. Pewnie nie ja jeden...

Na pewno nie on jeden. Mija właśnie 700 lat, gdy dawna osada słowiańska weszła na stałe w skład Rzeczypospolitej. Zygzakami świetności i upadków znaczyła się historia miasta, ale dopiero Manifest PKWN zapoczątkował nową, pełną dynamicznego rozwoju erę. Ponad pięć tysięcy nowych izb mieszkalnych, kilka budynków szkolnych, dwanaście razy więcej czytelników w bibliotekach niż przed wojną, czwarte miejsce w produkcji przemysłowej województwa...

Nasza „Warszawa" szybko mija rondo za miastem i podąża do Lublina. Major Giedrys częstuje „Giewontami" i troskliwie zamyka szybę, bo niespodziewanie spada silna ulewa. Kierowca zwalnia gaz i niemal wleczemy się po gładkiej szosie.

— Wleczemy się? — protestuje major. — Gdyby wtedy tak można było się wlec... Nasza szkoła podoficerska szła bocznymi, polnymi drogami tu, po prawej stronie. Dziś już, oczywiście, nie pamiętam, w jakiej stodole odpoczywaliśmy, gdzie nas karmiono i pojono. Wiem tylko, że bardzo nam dokuczało niemieckie lotnictwo i własne stopy, z których od kilku dni nie zdejmowaliśmy butów. W dodatku owijacze hamowały obieg krwi. Ale zaraz, zaraz — ożywił się, gdy na drogowskazie mignęła nazwa Siedliszcze — coś mi świta.

Zawracamy i jedziemy w bok. Mijamy czysty, pełen zieleni rynek i szukamy szkoły, mieszczącej się w dawnym dworze. Jest — jasna, rozbudowana, jeszcze pełna gwaru młodzieży, oczekującej właśnie na rozdanie świadectw. Droga biegnie tu jakby małym wąwozem, pełna zakrętasów, obramowana nowym chodnikiem.

— Tak, tak, tutaj właśnie szliśmy, potem przez rynek w prawo — przypomina sobie major. — Zarzucono nas tu kwiatami i arcypysznymi ciastkami.

Z pobliskiej chałupy wychodzi kobieta w sile wieku. Uśmiecha się życzliwie, ale z głębokich bruzd opalonej twarzy zda się wyzierać jakiś smutek i gorycz, zapiekły już i nieco stępiony latami, ale wciąż przecież dotkliwy...

— Męża rozstrzelali mi hitlerowcy na lubelskim Zamku już w listopadzie 1939 r. — opowiada Helena Dobosz. — Jeden brat zginął na Majdanku, drugi przeżył Dachau o jeden rok tylko, zamordowano bratową. Byliśmy dopiero co po ślubie, gdy zabrali męża razem z jedenastoma innymi — to była zemsta za zastrzelenie dwóch wyjątkowo zbrodniczych Niemców. Wszyscy wiedzieliśmy, kto to zrobił — niejaki Porębski — ale nikt nie zdradził.

Ojciec Doboszowej, który od pewnego czasu stał w drzwiach, przytakująco kiwa głową. On przecież stracił dwóch synów, synową i zięcia. Odchodzimy w milczeniu...

Tuż obok szkoły mieszka Aniela Krajanowska. Obiera właśnie kartoflę i na widok obcych ucieka do wnętrza domu. Po chwili wraca:

— Przepraszam — mówi — ale ja jestem chora, stale pęka mi głowa ze wspomnień. Panowie, tu na moim podwórzu Niemcy, kwaterujący w budynku dzisiejszej szkoły, zabijali ludzi. A najpierw ich torturowali. Przeszłam piekło na ziemi. Męża też straciłam w czasie wojny... Ale jak szło tu nasze wojsko pamiętam. Przez cały dzień piekłam wtedy ciastka i chleb pytlowy...

Gdy major zapewnia, że ciastka były wspaniałe, patrzy z niedowierzaniem, a potem wybucha z radością:

— To pan był wśród nich?

— Byłem!

Patrzą na siebie. Major śmieje się od ucha do ucha, jej jakby zastygła w bólu twarz ożywia się wolno. Potem przerzuca oczy na pobliską drogę, wreszcie uśmiecha się niepewnie i mówi cicho:

— Pana nie pamiętam. Tylu was wtedy było... Ale ten dzień zawsze...

Za rynkiem mijamy nowy szpital, kilkanaście ładnych domków i po schodach wchodzimy na cmentarz. Po lewej stronie pomnik z czarnego kamienia. Major staje na baczność i salutuje. Na czarnym kamieniu czytamy napis: „Zygmunt Jarzęcki — kapitan dyplomowany. Poległ na polu chwały 20.9.1939.". Na grobie obok tablica: Piotr Bartak — płk WP. Poległ na polu chwały 1939 r.". I jeszcze obok dwa groby: „Tu spoczywają żołnierze WP polegli na polu chwały 1939 r.". Polegli broniąc wolności na tym samym szlaku, po którym ta wolność przyszła pięć lat później, znaczona jakże liczniejszymi grobami na polskiej i radzieckiej ziemi.

— Mój oddział zwiadowczy minął bokiem także i to miasteczko — wspomina major, gdy przejeżdżamy Piaski, o których istnieniu wspomina już sam kanonik Długosz. — Taki już los zwiadowców, że zawsze muszą myszkować gdzieś po bokach. Koło Kazimierzówki, po lewej stronie szosy, dostaliśmy konie. W szóstkę pojechaliśmy na zwiady do Lublina. Wiedzieliśmy, że był już wolny, no ale na wojnie na słowo się nie wierzy. A poza tym po drodze mogły się jeszcze czaić różne niebezpieczeństwa. O Majdanku słyszeliśmy już wiele. Obóz był rzeczywiście wolny, ale to, co zobaczyliśmy — ciepłe jeszcze krematoria, żywe kościotrupy, które przeżyły kaźnię — to było przeraźliwe. Jednak zadanie było wyraźne: dotrzeć do śródmieścia! Przy Bramie Krakowskiej nawet nie wiem jak zostałem ściągnięty z konia, obsypany kwiatami, obcałowany i uściskany. Koledzy też. Z trudem ruszyliśmy z powrotem. Gdy dowódca szkoły, mjr Rudziński, spojrzał na moje siodło, zapytał: — A co tam macie w kieszeniach? Nawet nie wiedziałem, że pod Bramą wyładowano je pieczoną gęsią, jajkami i butelką wódki! W Lublinie przebywałem zaledwie dwa dni. Mieszkaliśmy w jakichś barakach, tam, gdzie dzisiaj stoją szkoły w Al. Racławickich. Po drugiej stronie była pustka, dziś jedna sponad 20 nowych dzielnic miasta — Racławicka Dzielnica Mieszkaniowa. Za ul. Weteranów też była pustka — dziś wspaniała dzielnica uniwersytecka. Nawet się nam wtedy nie śniło, że za kilka miesięcy będzie otwarty nowy uniwersytet. Teraz jest już pięć wyższych uczelni.

No, ale trzeba ruszać dalej. Dwa dni odpoczynku w czasie wojny to bardzo dużo. Zwłaszcza wśród swoich. Do Berlina jednak było jeszcze daleko. Znów marsz polami, od czasu do czasu potyczka z jakąś zagubioną grupą wroga. Gdzieś w prawo od Puław, w pobliżu dzisiejszych Azotów, zaatakowały nas karabinami maszynowymi trzy niemieckie myśliwce. Na szczęście las dobrze nas ochraniał i mieliśmy tylko dwóch lekko rannych. Puławy zajęły inne jednostki, my zaś poszliśmy na Dęblin, opuszczając województwo lubelskie. Potem było zdobywanie Pragi, szkolenie ochotników i rekrutów w Siwkach pod Wesołą, atak na Warszawę od Góry Kalwarii, zajmowanie stolicy, Łódź, Poznańskie, wybrzeże Bałtyku, Oranienburg oraz ostatni etap — Berlin. Tu byłem już dowódcą drugiej kompanii szturmowej I pułku. Ostatnie dwa dni walczyliśmy w rejonie ogrodu zoologicznego.

O walkach w Berlinie chyba nic nowego nie zdołam powiedzieć — broni się major. — Ale opowiem o innej historii. Wskoczyliśmy do jakiejś piwnicy, szukając uzbrojonych Niemców. Było pełno cywilów. Nagle jedna dziewczyna, bardzo zresztą wymizerowana, skoczyła w moją stronę. Podniosłem rewolwer, ale jakoś instynktownie nie pociągnąłem za spust. Dziewczyna rzuciła mi się na szyję szlochając:

— Ja jestem Polka, nareszcie jesteście...

Zabraliśmy ją ze sobą. Stanisława Wierzbicka do chwili kapitulacji pełniła u nas ochotniczo służbę sanitariuszki. Gdzieś po dwóch latach przyszła do koszar w Warszawie — elegancka, urocza, pełna radości życia. Ucałowała mnie na oczach całego pułku twierdząc, że wtedy ocaliłem jej życie, bo ukryci w sąsiedniej piwnicy hitlerowcy tuż przed naszym wejściem chcieli ją zastrzelić. Jeszcze dwa lata później spotkaliśmy się w Krakowie. Zaciągnęła mnie do rodziny na pięć minut — wyszedłem po dwóch dobach...

O zmierzchu wracamy do Lublina. W ciągu kilku godzin przejechaliśmy wygodnie wzdłuż szlaku, którym przed 22 laty maszerowała wolność. Dziś brzmi to nieco jak slogan, wtedy była to rzeczywistość, rodząca się w żołnierskim trudzie a jakże często w żołnierskiej śmierci. Za nami, w Puławach, coraz szybciej pracują Azoty. Mijamy nowe fabryki i domy, szkoły i sklepy. Lublin wita nas czerwonymi światłami na dźwigach, budujących osiedle LSM i za chwilę dziesiątkami neonów oraz pogwarem ludzi, odpoczywających w spokoju i radości. W blisko sześćdziesięciu tysiącach izb, zbudowanych tu po wojnie, zapalają się światła. Ludzie rozmawiają o różnych sprawach, odpoczywają, uczą się, słuchają radia, oglądają program telewizyjny, tu i ówdzie kłócą się, flirtują, licytują szlemika... Od dworca biegnie dudnienie pociągów, w odlewni FSC roztopione żeliwo leje się do form, w centrali telefonicznej zgłaszają się Moskwa, Paryż i Szczecin...

Normalne życie miasta, województwa, kraju.

Długo i milcząco ściskamy sobie dłonie. W mroku migają mi jeszcze kolorowe wstążeczki Virtuti Militari, Krzyża Walecznych, medali „Na polu chwały", Srebrnego Krzyża Zasługi...

Jerzy Dostatni

Współczesność historii

(Ciąg dalszy ze str. 3)

mian, które skrótowo nazywa się powstaniem styczniowym.

Nie dziwię się zresztą, że Jasienica wybrał jako materiał do swoich rozważań o życiu, losach i dziejach narodu właśnie ten okres. Był specjalistą w tym zakresie, to prawda, ale chyba więcej wpłynął na to fakt, że potrafiliśmy spojrzeć na wypadki z lat 1861—1864 po wojnie inaczej, pogłębiając ten problem o własne doświadczenia, rozumiejąc go lepiej, a przy tym powstanie styczniowe stanowi przecież źródło współczesności. Być może nie doceniamy członów pośrednich historii ostatniego stulecia i wiążemy powstanie jakoś bardzo blisko z naszym burzliwym okresem, ale to już prawo czasu, który z przeszłością wybiera najbliższe mu doświadczeniem wydarzenia historyczne. A więc przeżycia drugiej wojny światowej, a także pierwsze lata po wyzwoleniu przyczyniły się niewątpliwie do głębszego zrozumienia wysiłków „czerwonych". Jasienica nie zawahał się napisać w krótkim posłowiu do „Dwóch dróg", że książka ta powraca do spraw przedstawionych w „Białym froncie" siedem lat temu. Dodawał też: *„Nie wyobrażam sobie niebeletrystycznej książki na tematy historyczne, która by zadowoliła własnego autora. Wyrażone poglądy zmienia się chyba zawsze, niekiedy nazajutrz — albo się je odwołuje, albo potwierdza, wzmacniając lepszą argumentacją. Stać na miejscu nie sposób. Należałoby w tym celu przestać myśleć".*

Przyznawał się do zmiany poglądów na powstanie, oceniając jego znaczenie o wiele wyżej aniżeli w czasie powstania „Białego frontu". Przyczyniła się do tego — poza nowymi pracami historyków — także rzeczywistość, szczególniej wnioski, wyciągnięte z wydarzeń po październiku 1956 roku. Tak więc współczesność silnie wpływa na metody oceniania przez Jasienicę historii. Nie należy jednak zapominać, że wszelkie analogie historyczne mają przede wszystkim walor metaforyczny i sentymentalny, mniej intelektualny i często okazują się po pewnym czasie zawodne. Pozostaje jednak sam materiał historyczny, który w opracowaniu Jasienicy nabiera innego niż dotychczas znaczenia. Autor „Dwóch dróg" pisze z pasją publicysty, świetnością eseisty i przygotowaniem historyka. To stwarza, że historia pod jego piórem aktualizuje się, staje się niemal całkowicie współczesna, jakbyśmy mieli do czynienia z wypadkami bieżącymi. Jasienica pisze jak człowiek doświadczony głęboko dziejami, usiłując wyłuskać z nich istotny sens. Spod barwnych anegdot, których w swych książkach nie skąpi, spod dokumentów i relacji urzędowych pokazuje żywe oblicze działającego człowieka, miotającego się i uzależnionego od warunków historycznych, ograniczonego wprawdzie przez nie, ale starającego się przemienić rzeczywistość. Na ile jest to możliwe, ukazał Jasienica w „Dwóch drogach", tej fascynującej opowieści o młodym „czerwonym" premierze podziemnego rządu, który swymi posunięciami politycznymi przygotował grunt dla przemian społeczeństwa zacofanego w nowoczesne.

Kiedy namawiałem Pawła Jasienicę, żeby po „Białym froncie" sięgnął do postaci siostrzeńca Bobrowskiego, znanego pod nazwiskiem Josepha Conrada, wielkiego pisarza XX wieku, odpowiedział mi, że szykuje coś innego, chyba lepszego: ukazanie na nowo historii Polski. Nie mylił się. Jego „Polska Piastów" i „Polska Jagiellonów" stały się wydarzeniami na rynku czytelniczym, chociaż dużo chłodniej były przyjęte przez fachowców. Jasienica uważa się — i słusznie — przede wszystkim za literata, który podejmuje tematy historyczne. Jego proza niebeletrystyczna, solidnie udokumentowana, posługująca się ze znawstwem materiałami naukowymi, może się śmiało równać z dziełami Szymona Aszkenazego, jednego z nielicznych, którzy umieli pogodzić wiedzę z literaturą, i to z wielką korzyścią dla tych obu bliskich sobie dziedzin humanistyki. Zadałem kiedyś Jasienicy pytanie, czym jako autor tłumaczy zainteresowanie się społeczeństwa właśnie tego typu literaturą? Dokonał przecież wielkiej sztuki, przekonując czytelników do historii.

Siedzieliśmy w tak dobrze mi znanym gabinecie pisarza z oknem na budujący się Dom Społeczny mokotowskiego WSM i stojący nieco z boku wieżowiec, przesłaniający widok na osiedle. Ściany zastawione półkami z książkami, parę malutkich pejzaży krynickiego Nikifora, dużo chińszczyzny na ozdobę pokoju, jako że autor „Polski Piastów" odbył w 1956 roku podróż aż nad Ocean Spokojny, co opisał w książce „Kraj nad Jangtse". Jeszcze barwne kilimy ludowe na tapczanach, nad nimi zatknięta fioletowa palemka, jaką się ozdabia domy na Wileńszczyźnie w okresie Wielkiejnocy. Biurko zarzucone rękopisami, czasopismami i aktualnie czytanymi dziełami. Jasienica pochylił się, czoło ma sokratejskie, szerokie, a pod nim duże smolne brwi, oczy pełne blasku, ukryte za okularami. Pochylił się, jak napisałem, nieco nad biurkiem, by wyszukać egzemplarz pisma, które mi chciał wręczyć, gdy usłyszał moje pytanie.

— *Czym tłumaczę?* — odpowiedział po chwili. — *Właściwościami problematyki. W naszym kraju historia własna jest zawsze w centrum zainteresowania. Nie jest prawdą, że traktując o historii Polski trzeba prawić same komplementy. Można stawiać jej najcięższe zarzuty, aby tylko czytelnik miał świadomość, że autora naprawdę boli to, co w naszej historii było złe. Mówić nawet przykrą prawdę — ale bez uciechy i bez korepetytorskich zapędów.*

Pamiętam kiedyś dyskusję w „Klubie oficerskim" na Mokotowie nad „Polską Piastów". Zainteresowanie sali było ogromne. Zabierało głos wielu mówców, w tym i koledzy po piórze. Spóźniłem się nie z własnej winy na tę dyskusję, ale jeszcze mogłem zabrać głos i ściąć się z jednym z przedmówców, który zarzucał Jasienicy personalistyczne ujmowanie dziejów, twierdząc, że pisarz nie dostrzega narodu. Ten, który to mówił, skądinąd zdolny publicysta, nie wziął — lub nie chciał wziąć — pod uwagę, że źródła do epoki piastowskiej są skąpe. Ledwie pojawia się imię wielmoży czy biskupa, a co mówić o samym społeczeństwie, żyjącym w cieniu władcy? Nie to było dla mnie istotne. Ważniejsza okazała się wypowiedź młodego człowieka, niewiele ponad dwudziestkę mającego. Wyczekał on ze swoimi wywodami niemal do końca. I powiedział, że jest wdzięczny Jasienicy za ukazanie historii bez kompleksu niższości i za to, że mógł się przekonać po lekturze „Polski Piastów", iż jesteśmy narodem normalnym, którego rozwój przebiegał według wszelkich prawidłowości, a nie narodem szaleńców, uwielbiających fajerwerki militarne w rodzaju Samosierry (ja cenię wysoko tę wspaniałą szarżę!) czy wszelkich powstań, jak to usiłowali wmówić społeczeństwu pewni publicyści.

Otóż to! Historia bez kompleksów, ukazana przy tym możliwie wszechstronnie i jej racje wypro-

I o tym zapomnieć?

Jak hitlerowcy prześladowali księży diecezji lubelskiej

KSIĄDZ Antoni Czamarski, proboszcz parafii Huta Krzeszowska, był pierwszym kapłanem rzymsko-katolickim w województwie lubelskim, który poniósł śmierć z rąk niemieckich. Jeszcze we wrześniu 1939 roku, gdy między Wisłą a Bugiem trwały krwawe boje, księdza Czamarskiego oskarżono o pomaganie Wojsku Polskiemu i rozstrzelano. Toczyły się też jeszcze walki w okolicach Lublina, gdy 17 września Niemcy, zająwszy miasto, wzięli pierwszych zakładników, a wśród nich duchownych z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego i miejscowych parafii.

Po przejściu frontu zapanował chwilowy spokój i poza nielicznymi wypadkami (jak np. zastrzelenie przez niemieckiego kapitana wikariusza z Sitańca pod Zamościem, ks. Alojzego Strąkowskiego), kościół nie poniósł większych strat. Ale już 9 listopada podczas pierwszego masowego aresztowania inteligencji, samochody więzienne podjechały pod Seminarium Duchowne w Lublinie, pod plebanię parafii na Bronowicach i kościoła pobernardyńskiego św. Pawła. Innych księży chwytano na ulicy. Księży profesorów KUL aresztowano w mieszkaniach.

W dniu tym aresztowano też m. in. rektora KUL ks. prof. dr Antoniego Szymańskiego, rektora seminarium ks. dr Piotra Stępniaka (obecny wikariusz generalny Kurii Biskupiej), ks. prałata Franciszka Chlastawę, ks. kanonika Ludwika Zalewskiego i innych znanych duchownych z diecezji lubelskiej. Na miejscu zlapano szereg księży spoza Lublina, którzy przyjechali tu załatwiać sprawy w Kurii Biskupiej.

W dwa dni potem aresztowano i osadzono na Zamku dalszych księży: profesorów KUL i urzędników instytucji diecezjalnych, m. in. obecnego biskupa ordynariusza lubelskiego dr Piotra Kalwę. Następnie przywieziono proboszcza parafii Siedliszcze (pow. chełmski) ks. Ludwika Szyszkę i po sądzie doraźnym rozstrzelano go i pochowano pod murami Zamku.

17 listopada 1939 r. aresztowani zostali, pod zmyślonym zarzutem zbierania broni: 74-letni biskup ordynariusz lubelski dr Marian Leon Fulman i 41-letni biskup — sufragan dr Władysław Goral, oraz 9 innych prałatów i kanoników (m. in. obecny kanclerz Kurii Biskupiej ks. Wojciech Olechi). Dołączono do nich również wikariuszy generalnych Kurii: ks. Stanisława Mysakowskiego i ks. Stanisława Krynickiego, którzy na wezwanie pisemne sami zgłosili się do gestapo. Nazajutrz przywieziono proboszcza parafii Kamionka ks. Piotra Gintowt Dziewiałtowskiego i wikariusza ks. Antoniego Hunicza (zamordowano ich 5 stycznia 1940 r.), oraz dużą grupę księży diecezjalnych i zakonników z powiatu chełmskiego, a m. in. dziekana ks. kan. Wacława Kosiora (zamordowano go wraz z księżmi z Kamionki).

27 listopada obaj biskupi lubelscy i aresztowani z nimi księża zostają skazani na karę śmierci. 3 grudnia 1939 r. wywieziono ich do Oranienburga, gdzie dowiedzieli się, że „w drodze łaski" zamieniono im karę na dożywotnie więzienie.

W grudniu gestapo zajmuje dom księży emerytów przy ul. Ogrodowej. Starszych pensjonariuszy Niemcy wypędzają na ulicę, młodszych wtrącają do więzienia. Drogą różnych zabiegów i starań, a często i przekupstwa, udaje się rodzinom i kolegom uwolnić niektórych księży (m. in. w lutym 1940 r. zwolniono sędziwego biskupa Fulmana i internowano go w Nowym Sączu). Ale na ich miejsce przychodzą do więzienia na Zamek całe grupy następnych. Po wysokich funkcjonariuszach Kurii Biskupiej aresztowani są urzędnicy dekanatów, a także zwykli proboszczowie, wikariusze, prefekci i zakonnicy. 23 grudnia 1939 roku rozstrzelani zostali profesorowie KUL: Czesław Martyniak i ks. Michał Niechaj. 25 stycznia 1940 r. gestapo przywozi na Zamek 23 kapucynów z Lublina, 2 lutego aresztowanych zostaje 26 jezuitów i 23 kleryków teologii. Macki okupanta coraz częściej sięgają na prowincję. Szczególnie mocno dotknięte są parafie w powiatach: zamojskim, tomaszowskim, biłgorajskim i kraśnickim.

ROMUALD WIŚNIEWSKI

„Pierwszy raz aresztowano mnie w kwietniu 1940 r. — opowiada ks. dr Wacław Staniszewski, który wtedy był prefektem kościoła św. Katarzyny w Zamościu. — *Gestapo obchodziło się ze mną bardzo uprzejmie, bo chcieli wydobyć informację gdzie jest „Hołd Pruski" Matejki, w którego ukryciu brałem udział. Oświadczyłem, iż widziałem jakąś długą skrzynię, ale co w niej było i gdzie ona jest — nie wiem. Po raz drugi „jesteście aresztowani" usłyszałem w czerwcu 1940 r. Kazano mi się przebrać w cywilne ubranie i po trzech dniach pobytu w zamojskiej Rotundzie i tygodniu na Zamku znalazłem się w Oranienburgu. Tam pierwszy dzień przestałem na baczność z odkrytą, świeżo ogoloną na „zero" głową, pod palącymi promieniami słońca. Tak zaczęło się dla mnie piekło hitlerowskiego lagru. Pracowałem w 12-osobowym komando jako zwierzę pociągowe wielkiego wozu ciężarowego. Współwięźniowie ginęli na moich oczach, bądź to nie mogąc przetrzymać tych warunków, bądź z pobicia lub chorób, bądź też śmiercią gwałtowną, jak np. ks. Ludwik Wielgosz z Goraja, któremu wstrzyknięto benzynę. Z dwunastu — przeżyło nas trzech. Doznaliśmy wszelkich możliwych upokorzeń i cierpień. Kiedy 29 kwietnia 1945 roku wyzwolono obóz, ważyłem trzydzieści kilka kilogramów".*

Aresztowania, deportacje, osadzanie w obozach i zagłada księży lubelskich trwały do końca wojny. Z samej tylko diecezji lubelskiej rozstrzelano 16 księży i jednego kleryka, zaś 25 zmarło wskutek pobicia, zaszczucia psami, chorób lub wycieńczenia w więzieniach i obozach. Wielokrotnie więcej przeszło aresztowania. To są dane dotyczące tylko diecezji lubelskiej, składającej się z 252 parafii. Nie mniejsze straty poniosło i duchowieństwo ze 117 pozostałych parafii katolickich w woj. lubelskim, należących do diecezji podlaskiej, lubaczowskiej i sandomierskiej, a także duchowieństwo zakonne.

W czerwcu 1944 r. w szpitalu policyjnym w Berlinie zmarł w wieku 46 lat, wyniszczony długim pobytem w obozie, biskup Goral. Wiadomości na ten temat Niemcy nie przekazali polskim władzom kościelnym, świadków zaś nie było. Dopiero na przełomie lat 1945-46 udało się ustalić, że pogłoski o śmierci biskupa Gorala są prawdziwe. Oficjalnie informację tę zamieściły „Wiadomości diecezjalne lubelskie" w numerze z lutego 1946 r. Niemcy tylko raz przesłali rodzinie prochy zmarłego kapłana, a mianowicie ks. Jana Lenarta, wiceoficjała Sądu Biskupiego, aresztowanego razem z biskupami i zmarłego w Oranienburgu wiosną 1940 r. Pozostali ginęli nieraz bez śladu.

Z rąk okupanta straciło też życie 11 organistów z diecezji lubelskiej.

* * *

Hitlerowcy prześladowali nie tylko kapłanów. Zamykano kościoły i plebanie, rabowano sprzęt liturgiczny, bezczeszczono obiekty kultu religijnego, uniemożliwiano księżom odprawianie posług duszpasterskich... Istnieje na ten temat sporo publikacji (najobszerniejszą opracował ks. dr Zdz. Goliński — późniejszy biskup częstochowski) i zapisków nie ogłoszonych drukiem, można też uzyskać sporo wiadomości od księży starszej generacji. Jak dotychczas, brak jest jednak publikacji wyczerpująco omawiającej całokształt tych zagadnień w woj. lubelskim. Można więc opierać się jedynie na tych mniej lub bardziej obszernych pracach wycinkowych.

„...W grudniu 1942 r. większość parafii została wysiedlona i rozproszona po obozach w kraju i w Niemczech. Kościół parafialny, zamieniono na magazyn zboża i nawozów sztucznych. Stary misyjny krzyż koło kościoła zrąbany legł na ziemi; Niemcy strącili z cokołu piękną statuę Matki Bożej, utrącili głowę i zakopali na cmentarzu oraz zrabowali jeden dzwon. Miejscowy przywódca zbiraw niemieckich strzelał osobiście do obrazu św. Stanisława, patrona parafii, umieszczonego na frontonie kościoła... Niemcy cofając się w roku 1944 umyślnie spalili piękną murowaną plebanię i wszystkie budynki gospodarcze. Zostały popioły..." — czytamy we wspomnieniach ks. Kazimierza Czekańskiego, proboszcza parafii Wieląca w dekanacie zamojskim.

Ks. kanonik Edward Niećko spo-

(Dokończenie na str. 11)

Federico Garcia Lorca

BEZ lamentów! Śmierci należy patrzeć prosto w twarz... Łzy tylko w samotności. Wszyscy tonieemy w morzu żałoby. Milczeć... Milczeć!"

Słowa te zamykają dramat Garcii Lorki „Dom Bernardy Alba", który ukończony został 19 czerwca 1936 roku, na dwa miesiące przed tragiczną śmiercią poety w wąwozie Viznar koło Grenady. Milczenie, które tę śmierć otoczyło, pełne było grozy. Dopiero zaczynano wcielać w życie faszystowską tezę mordowania inteligencji jako ludzi najbardziej niebezpiecznych. Gdy 17 lipca 1936 r. wybuchło w Północnej Afryce powstanie przeciwko republice hiszpańskiej, Lorca przebywał w domu rodzinnym w Grenadzie. Nie chciał ratować się ucieczką, nie wierzył w niebezpieczeństwo, chociaż bowiem znane były republikańskie sympatie jego rodziny, on sam nie był oficjalnie związany z żadną partią. Zadenuncjowany przez miejscowych faszystów, uwięziony został w nocy z 17 na 18 sierpnia i następnego dnia o świcie rozstrzelany. Rząd odmówił wszelkich wyjaśnień na ten temat i dotychczas nie udało się odnaleźć bezimiennego grobu, który poeta sam sobie przed egzekucją wykopał. Fakty, które zdołano ustalić są nieliczne, obraz niezupełny, wydarzenie to zespoliło się z tysiącami innych, które utonęły w powszechnej fali żałoby, jaka przeszła w owych latach nad Hiszpanią.

Federico Garcia Lorca, najwybitniejszy niewątpliwie współczesny poeta hiszpański, jeden ze słynnego pokolenia 1898, autor licznych zbiorów wierszy i utworów dramatycznych, twórczość swoją poświęcił ojczyźnie. W jego zarliwej, namiętnej poezji „zwróconej twarzą ku miłości i śmierci" stale jest obecna „wieczna Hiszpania", jej krajobraz, obyczaje i prości ludzie — ci, z którymi potrafił noc całą przegadać przy winie, ci, dla których zorganizował teatr „La Baracca" docierający z klasycznym repertuarem hiszpańskim do najbardziej odległych i nieważnych osiedli.

Jest to twórczość pełna kontrastów: zakorzeniona w tradycji i nowatorska, wyrastająca z pieśni ludowej, dowcipna i prostota tej pieśni obdarzona, a jednocześnie trudna, niemal hermetyczna, dzięki surrealistycznej metaforyce, odległym skojarzeniom, poezja ostra i drapieżna, poezja niezmiernej łagodności, ułaskawiającej ludzkie cierpienia. Poniżej drukujemy wiersze tego poety.

(ma — józ.)

Zasadzka

Pozostał martwy na ulicy,
sztylet miał w piersi.
Nikt go nie znał.
Jakże drżała latarnia!
Matko,
jak ona drżała, ta latarenka
uliczna!
To było świtem. Nikt
nie schylił się, by zajrzeć w oczy
rozwarte w wietrze bezlitosnym
I został martwy na ulicy,
sztylet miał w piersi.
I nikt go nie znał.

Memento

Gdy umrę
pochowajcie mnie z moją gitarą
pod sypkim piaskiem.

Gdy umrę
pośród pomarańcz
i mięty.

Gdy umrę
pochowajcie mnie, jeśli chcecie,
w chorągiewce na wietrze.

Gdy umrę!

Pieśń caballero

Kordoba
daleka, samotna.

Czarny koń i księżyc w pełni,
w sakwie pełno mam oliwek.
Tyle dróg już przemierzyłem
lecz nie dotrę do Kordoby.

Poprzez wiatr i przez równinę
czarny koń, czerwony księżyc,
z dala śmierć spogląda na mnie
z kordobańskich wzniosłych wieżyc.

Ach, jakże daleka droga.
Ach, mój szlachetny rumaku.
Pomyśleć, że śmierć mnie czeka
na szlaku mym do Kordoby.

Kordoba
daleka, samotna.

Przełożyła **Maria Józefacka**

---

wadzone z tła społecznego, politycznego, z owego podglebia, które kształtuje świadomość wspólnoty, musi trafić do przekonania każdemu, kto się z nią zapoznał. Tym tłumaczę ogromne powodzenie książek Pawła Jasienicy, tych opowieści o naszych dziejach, napisanych z pasją i podsuwających pewne wnioski dla współczesności. Czy daje w nich coś nowego? Zapytałem go o to wprost, przepraszając za zbyt obcesowo sformułowane pytanie. Jasienica odpowiedział mi na to zwyczajnie, bardzo prosto.

— *Zajmuję całkiem literacki punkt widzenia. Chcę, żeby te książki były literaturą, żeby pokazywały ludzkie dramaty historii. Starałem się ukazać całość naszej historii, z uwzględnieniem niedostatecznie dotychczas znanych spraw Ziem Zachodnich. To raz. A „nowość" polega jedynie na powrocie do starych tradycji historiografii europejskiej — na opowiadaniu o historii jako pasjonującej przygodzie ludzkiej. Mój punkt widzenia jest spojrzeniem człowieka, który przeżył dwie wojny światowe. Zarzucają mi niektórzy z moich krytyków, że moje zainteresowanie skupia się na ośrodkach władzy — kiedy to właśnie jest ujęciem człowieka współczesnie żyjącego i obserwującego pilnie czasy, w których mu przyszło żyć i działać. Przed wojną również zajmowałem się historią, ale dopiero przejście przez wojnę pozwoliło mi na konkretyzację zainteresowań. To, co druga wojna światowa pokazała, było niemal przykładowe w sensie laboratoryjnym — cierpienia milionów zostały spowodowane opętaniem ośrodków władzy, jak to miało miejsce w Niemczech hitlerowskich. Być może, iż ten mój punkt widzenia może się wydać komuś niewłaściwy, ale ja go się nie pozbędę, gdyż głęboko przeżyłem czasy wojny i totalnego ucisku ze strony hitlerowców.*

— Może dlatego w pańskich opowieściach i rozważaniach na temat historii naszego kraju pojawia się dość często termin „los". Moim zdaniem, jeśli mi je wyrazić, pańskie książki są rozważaniami o polskim losie, rozważaniami, których materiałem pomocniczym stały się dzieje polityczne i kulturalne naszego kraju. A może pan jest odmiennego zdania...

— *Przeciwnie* — przerwał mi Jasienica. — *Zupełnie się zgadzam. Terminu „los" świadomie i dość często używam w tekście.*

— Pan sam podjął problem zarzutów, jakie stawiano pańskim książkom. Jeden z nich, i chyba zasadniczy, brzmi, że nie opracował pan historii w sposób niejako „podręcznikowy", nie dał pan wykładu systematycznego z punktu widzenia metodyki. Pan miał, o ile się orientuję, doświadczenia pedagogiczne, doświadczenia z młodzieżą. Nieobce było panu nauczanie historii.

— *Zmusza mnie pan do wspomnień. No, trudno* — westchnął Jasienica. Ale z tonu, jakim wyraził to zastrzeżenie nie wyczułem, ażeby mu było to niemile. — *Ukończyłem uniwersytet w 1932 roku i odtąd przebywam stale w towarzystwie historii, o ile oczywiście nie byłem zmuszony zajmować się czym innym w czasie wojny. Zaczynałem swoją karierę historyka jako nauczyciel. Mogę więc mówić o moich doświadczeniach osobistych. Przez trzy lata byłem nauczycielem w gimnazjum prywatnym imienia Henryka Sienkiewicza w Grodnie. Jednym z moich uczniów był obecny profesor dr Franciszek Ryszka. On sam w wywiadzie udzielonym „Sztandarowi Młodych" powiedział, że wspomnienia z moich lekcji poniekąd wpłynęły na jego zainteresowanie się historią. Najwdzięczniejsze podziękowanie, z jakim można się spotkać. To znaczy, że nie uczyłem na próżno. Starałem się przekazywać moje wiadomości uczniom w sposób bezpośredni, może to nawet nie była lekcja, a opowieści o historii. Bowiem nauczanie tego przedmiotu wymaga stale pamiętania o jednym, że lekcje historii, a tym samym i wszelkie pisanie na ten temat, muszą przemawiać do wyobraźni i do uczucia. Nauczanie nie może być odbarwione z całego epickiego bogactwa szczegółu. Rolę w nauczaniu musi grać konkret, a o tym często się zapomina. Nie można przerabiać historii na abstrakcyjne pojęcie. Dam panu prosty przykład. Tak zwany „mechanizm dziejów", pojęcie słuszne w zasadzie, jest dostępne ludziom dojrzałym na poziomie uniwersyteckim. Co młodzież z tego zrozumie? Dla młodzieży istotny jest, powtarzam, konkret. Nasycony abstrakcyjnymi formułkami, widzący dzieje wyłącznie przez ich pryzmat, młody człowiek zada sobie pytanie, czym się różni historia Polski od historii np. Czech. W nauczaniu nie można pominąć tego, co pan sam nazwał przed chwilą — losem zbiorowości. Bo to właśnie jest konkret.*

Moją uwagę zwraca jedna z półek, na której widzę tak znajome mi książki.

Dorobek Pawła Jasienicy powiększa się z każdym rokiem wydatnie. Obok dwóch tomów dziejów Polski — kapitalne „Myśli o dawnej Polsce", doszli „Trzej kronikarze", których Jasienica w rozmowie ze mną nazwał nie rozważaniami naukowymi, lecz książką o jego trzech starszych kolegach oraz „Ostatnia z rodu", dzieło o Annie Jagiellonce, postaci ogromnie interesującej, która wywarła duży wpływ na dzieje.

— *Staram się zaczynać pracę rano i lubię, żeby pisanie było pierwszą czynnością danego dnia. Nie zawsze mi się to udaje. Jak pracuję nad samym materiałem? Przede wszystkim odświeżam i uzupełniam lektury, albo bardzo często posługuję się przemyśleniami, do których już dawniej doszedłem, co nie znaczy bynajmniej, bym nie brał pod uwagę doświadczeń i spostrzeżeń bieżących* — powiedział mi Jasienica, gdy zapytałem o warunki i metodę jego pracy, gdyż wiem, że skończył pisanie drugiej części trzeciego tomu swej historii Polski, którą zatytułował „Rzeczpospolita Obojga Narodów".

Ale Jasienica-publicysta nie odstępuje ani na krok od Jasienicy-historyka. Powiedziałbym nawet, że często bierze nad nim górę. W Polsce Piastowskiej, ukształtowanej ze wzrostu politycznego oraz ustrojowego plemion i szczepów, a także w dążeniu jej władców, których *„wielkość polega na tym, że tworząc polityczną siłę i organizacyjną spójnię, ocalili przed zagładą wartości, które samodzielnie i licznie wzrastały od czasów Biskupina"*, dostrzegł Jasienica niemal idealny twór, opierający swoją politykę na realnych możliwościach. Wędrówki po odkryciach archeologicznych, dokonanych już po wojnie i to, jak już podkreślałem, na sposób rewelacyjny, uświadomiły autorowi „Myśli o dawnej Polsce", z których pochodził przytoczony przeze mnie wyżej cytat, że najważniejszym osiągnięciem społeczeństw jest czerpanie z doświadczeń poprzednich pokoleń. Wierny tym założeniom Paweł Jasienica, trawestując słowa Norwida, organizuje historyczną wyobraźnię narodu. Narodu, który po latach wstrząsów powrócił na szlak piastowski.

Lesław M. Bartelski

Z książki „W kręgu bliskich", jaka ukaże się nakładem Wydawnictwa Literackiego w Krakowie.

Wojewódzkie domy kultury

POSZUKIWANIE MODELU

MIROSŁAW DERECKI

POWSTANIE w ostatnich latach ogromnej liczby klubów środowiskowych, całej sieci nowych placówek kulturalnych w terenie, a równocześnie dynamiczny rozwój środków masowego przekazu — to kryzys tradycyjnych form pracy kulturalno-oświatowej. Szczególnie w większych ośrodkach, w miastach wojewódzkich. Zależność pomiędzy wojewódzkimi domami kultury a tzw. „terenem", ich miejsce i rola w polityce kulturalnej kraju, ich osiągnięcia i poszukiwania to problem, który narasta coraz silniej.

Wzrost liczby placówek, od powiatowych domów kultury począwszy a na wiejskich klubo-kawiarniach kończąc, stwarza zapotrzebowanie na poradnictwo kulturalne, szkolenie i dokształcanie licznej młodej kadry pracowników kulturalno-oświatowych w terenie. Nie dysponujemy, jak dotąd, jakimiś osobnymi centrami szkoleniowymi. Siłą rzeczy właśnie w wojewódzkich domach kultury poza tzw. działalnością środowiskową coraz silniej rozbudowują się działy oświatowe, metodyczne itp., które wydzielają się najczęściej w odrębne organizmy, przybierając nazwę wojewódzkich poradni kulturalno-oświatowych, ośrodków instrukcyjno-metodycznych pracy kulturalno-oświatowej i in. Działalność środowiskowa schodzi często na drugi plan, nierzadko zresztą dlatego, że nie potrafi wybrnąć z tradycyjnych form pracy. Przeżywają się na przykład wielkie ludowe zespoły pieśni i tańca, a jest zapotrzebowanie na ogniska baletowe i rytmikę. Łatwo dostrzec w większych ośrodkach zmierzch klasycznego teatru amatorskiego, i tendencję do tworzenia teatrzyków lub estrad poetyckich. Rośnie zainteresowanie amatorskim ruchem filmowym.

Do powstających lub rozbudowujących się poradni przychodzą młodzi pracownicy. Są to jednak najczęściej ludzie z dyplomami magisterskimi, poloniści i historycy, psychologowie i socjologowie. Wzajemne stosunki pomiędzy nimi a weteranami pracy kulturalnej, dysponującymi dużym doświadczeniem, ale często i brakiem świeżości spojrzenia, nie zawsze układają się najlepiej. To wszystko, plus przeważnie ciężkie warunki lokalowe i finansowe WDK, powoduje ostatnio pewien chaos w ich pracy.

W kłopotach i problemach wojewódzkich domów kultury można w pewnej mierze zorientować się na przykładzie województw: kieleckiego, białostockiego i lubelskiego.

* * *

Charakterystyczną cechą wszystkich trzech są trudności lokalowe. Ale i tu — ogromne zróżnicowanie. Lubelski WDK zajmuje część Zamku skąd grozi mu eksmisja. Białystok wynajmuje dwie trzecie niewielkiej kamieniczki od związków zawodowych. Kielce przeciwnie: same wynajmują związkom zawodowym liczne pomieszczenia. Bolączką dwóch pierwszych WDK jest szczupłość pomieszczeń; nieszczęściem kieleckiego — ich „pałacowość".

Wojewódzki Dom Kultury w Kielcach został wzniesiony jeszcze przed wojną, przez wojsko, jako superkasyno oficerskie. Liczne sale oraz halle wybudowano z kawaleryjskim rozmachem. O kłopotach lokalowych tego WDK pisałem niedawno w „Kamenie". Więc dla przypomnienia tylko: większość pomieszczeń zajmują różne urzędy i lokatorzy prywatni, własne są rozproszone, w salach odbywają się nierzadko... bankiety, urządzane przez różne ważne instytucje. Trudno w takich warunkach o prowadzenie działalności środowiskowej, jakiej domaga się miasto.

Dotacja WRN wynosi 2 365 000 rocznie. Z tego 1 270 000 zł idzie na płace pracowników, administracja budynku pochłania 830 000. Na działalność merytoryczną pozostaje 265 000 zł. Jest to suma bardzo mała. Kielecki WDK musi więc „zarobić" w ciągu roku około 900 000 zł. Składają się na to głównie stałe wpływy z czynszu i dzierżawy i derywcze wpływy za wynajęcie sal. Ale dlatego też wśród 60 pracowników etatowych 25 to pracownicy administracyjni. Ogromny gmach, wykorzystywany przez liczne instytucje i nawiedzany przez setki interesantów, wymaga całego zastępu sprzątaczek, palaczy, portierów. Instytucje płacą i wymagają czystości, światła i ciepła.

* * *

WDK w Kielcach posiada przynajmniej marmury i rozłożyste schody. W Białymstoku klatka schodowa i nieliczne pomieszczenia w małej kamieniczce są ciasne i ubogie. Lokatorzy WDK w Kielcach płacą 300 000 zł rocznego czynszu, Wojewódzki Dom Kultury w Białymstoku sam płaci Związkowi Zawodowemu Włókniarzy (to jego własnością jest budynek) — 100 000 zł. Włókniarze nie zgodzili się na udzielenie 50% zniżki. Tak więc białostocki WDK pracuje w najgorszych w Polsce warunkach lokalowych. Wojewódzka Poradnia Kulturalno-Oświatowa mieści się w dawnym sklepie. „Dział środowiskowej pracy oświatowej i artystycznej" ma dwa małe pomieszczenia. Jest także na piętrze „sala widowiskowa", przypominająca rozmiarami większą świetlicę szkolną. Dotacja WRN: 1 850 000 zł. Na etatach 29 osób, z czego 12 to pracownicy merytoryczni.

WDK nie cieszy się w Kielcach najlepszą opinią. Zarzuca mu się brak żywszych prądów w działalności artystycznej (do niedawna także brak planowej działalności metodycznej) i niezbyt silną operatywność w mieście. Nie ma tutaj interesujących zespołów artystycznych, zresztą ani tych „tradycyjnych" ani „nowoczesnych". Słynny kiedyś klub „Wiedza" pracuje zrywami. WDK w Kielcach jest chyba jedynym w Polsce, który dotąd nie wydaje własnego biuletynu. Z drugiej strony, trzeba wziąć pod uwagę wszystkie trudności lokalowe i administracyjne, a z pewnością i fakt niedawnego otwarcia najbardziej chyba luksusowego i nowoczesnego w Polsce Klubu MPiK, rozwijającego niezwykle ożywioną działalność. Wojewódzki Dom Kultury ma przecież i swoje osiągnięcia. Należy do nich interesujący Klub Dziecka, Amatorski Klub Filmowy, dobrze pracujące koła zainteresowań młodzieży i wreszcie, organizowany właśnie, Klub Instruktorów, który ma opracować własny model instruktażowy dla Kielecczyzny. Nowe kierownictwo, które objęło niedawno WDK ze wszystkimi jego mankamentami, złymi i dobrymi tradycjami, dąży do wypracowania modelu działalności, w którym obok pracy środowiskowej ogromny nacisk ma być położony na rozwój działalności poradniczej i szkoleniowej w terenie.

Właściwie jedynym reprezentacyjnym zespołem artystycznym jest działający od 13 lat osiemdziesięcioosobowy zespół pieśni i tańca „Kurpie Zielone", laureat wielu nagród. Trzy razy w tygodniu ćwiczy chór. Balet musi korzystać z sali Ogniska Choreograficznego i płacić za wypożyczenie sali. Interesujące wyniki posiada Amatorski Klub Filmowy. Na ogół jednak działalność środowiskowa WDK jest nikła. Brak warunków do pracy. Jedna tylko okazja nie jest w pełni wykorzystana: sala wystawowa na parterze. Białystok cierpi na brak interesujących wystaw plastycznych. Dobór wystaw WDK cechuje raczej przypadkowość. Ani BWA ani ZPAP nie posiadają własnych sal. Przy stałej z nimi współpracy można by tutaj, przynajmniej czasowo, otworzyć salon plastyczny tak potrzebny miastu.

W Kielcach mówi się wiele — źle lub dobrze — o WDK. W Białymstoku w ogóle niewiele się mówi. Po prostu nie ekscytuje on społeczeństwa (z wyjątkiem „Kurpi Zielonych"). Przy licznych, dobrze prosperujących i bogato wyposażonych białostockich klubach środowiskowych, WDK pędzi raczej skromny żywot przy cichej uliczce Kilińskiego. Na najbliższe dziesięć lat nie przewiduje się zmiany warunków lokalowych. Powstał więc projekt całkowitego zaniechania działalności środowiskowej, rozbudowania Wojewódzkiej Poradni Kulturalno-Oświatowej i przejścia tylko na działalność poradniczą i szkoleniową dla potrzeb terenu.

* * *

Wojewódzki Dom Kultury w Lublinie zajmuje pół lewego skrzydła Zamku. Otrzymał kiedyś całe skrzydło, ale potem połowa została wyburzona, gdyż na jej miejscu miała stanąć duża, nowoczesna sala widowiskowa. Kiedy już wykonano roboty ziemne i wzniesiono fundamenty, pierwotny plan uległ zmianie. Postanowiono (dla dobra zabytkowych partii Zamku) zrezygnować z sali widowiskowej i z czasem odbudować zburzoną część gmachu. W ogóle lubelski WDK nie ma szczęścia do lokalizacji. Położony zasadniczo w centrum miasta jest jednocześnie od niego odległy. Naokoło wzgórza zamkowego rozciąga się szeroki pas pustych, nie oświetlonych i niezbyt spokojnych wieczorem placów i zieleńców.

Kilka lat temu o mały włos nie otrzymał Lublin najbardziej nowoczesnego gmachu WDK w kraju. Był projekt, cała dokumentacja i lokalizacja (zresztą też niezbyt szczęśliwa, z dala od centrum miasta). Koszt budowy wielki — 45 milionów złotych. Projekt zakładał budowę ogromnej sali widowiskowej, której miasto nie posiada. Ale sprawa upadła. Kredyty zostały skreślone z budżetu województwa. Ostatnio władze proponują przeniesienie WDK do samego centrum, ale nowym schronieniem ma być stary, poklasztorny budynek, zupełnie nie przystosowany do specyfiki pracy tego rodzaju instytucji.

Wojewódzki Dom Kultury w Lublinie zatrudnia 45 pracowników, z czego 22 to pracownicy merytoryczni. Utrzymuje się z 2 300 000 zł rocznej dotacji WRN.

Być może ten splot „przeciwności losu", fakt, że lubelski WDK nigdy właściwie nie zaznał poczucia stabilizacji, jest przyczyną stałego niepokoju, ciągłego szukania nowych form pracy. I w rezultacie jest zaliczany do najciekawszych tego typu placówek w kraju, do tych, które posiadają najbardziej skonkretyzowany profil. Białystok i Kielce szamocą się wciąż jeszcze pomiędzy działalnością środowiskową i poradniczą. WDK w Lublinie postanowił obie połączyć. W tym układzie tradycyjnie pojęta działalność środowiskowa została zaniechana. Istniejące zespoły artystyczne i koła zainteresowań nabierają bardziej elitarnego charakteru. Starać się do nich dostać może każdy, ale w drodze naturalnej selekcji pozostają tylko najbardziej zdolni, angażujący się w pracę społeczną i biorący udział w pracy szkoleniowej i poradniczej, prowadzonej przez WDK dla potrzeb terenu. Działalność środowiskowa zostaje więc ukierunkowana w ten sposób, że jest ona pewnego rodzaju warsztatem doświadczalnym dla kadry pracowniczej. Przykładowo: nie istnieje osobna — Wojewódzka Poradnia K.-O. i „środowiskowy", Amatorski Klub Filmowy. Natomiast działa on jako część Działu Oświatowego. Opiekuje się nim instruktor, który jest w kontakcie także z innymi amatorskimi klubami filmowymi w województwie. Lubelski AKF posiada najlepszy „wzorcowy" sprzęt, jest gospodarzem spotkań i zjazdów klubów filmowych z całego województwa, jego członkowie sami wyjeżdżają w teren, uczestniczac w szkoleniu członków klubów prowincjonalnych. Członek zespołu WDK staje się więc asystentem instruktora. Kierownictwo WDK w Lublinie uważa, że wojewódzki dom kultury powinien być bazą kulturalno-oświatową dla województwa, a jednocześnie placówką wciąż eksperymentalną i poszukującą.

Charakterystyczna dla działalności lubelskiego domu kultury jest wielka liczba wydawanych drukiem materiałów instruktażowych. W 1965 r. wydany m. in. 80-stronicowy „Informator kierownika placówki kulturalno-oświatowej" stał się swego rodzaju bestsellerem w skali krajowej. Równocześnie WDK starał się ograniczać, bardzo rozpowszechnione w wielu domach kultury i wymagające mniejszego wysiłku „poradnictwo werbalne", a organizować w terenie jak najwięcej imprez przykładowych, w których urządzaniu biorą udział powiatowe domy kultury, rady klubów na prowincji i organizacje społeczne. Najciekawsze imprezy dają podstawę do opracowania materiałów instruktażowych, rozsyłanych następnie do wszystkich placówek kulturalnych w województwie.

Jedną z najciekawszych inicjatyw WDK jest działające od kilku lat na Zamku Studium Kultury Teatralnej, grupujące ludzi interesujących się sprawami teatru. Częste spotkania i prelekcje najwybitniejszych postaci polskiego środowiska teatralnego (w ciągu 4 lat istnienia Studium zorganizowano 111 takich spotkań) nadają wysoką rangę temu przedsięwzięciu. Na zajęcia Studium szczególnie licznie uczęszczają studenci z wydziałów humanistycznych.

W okresie dziesięciolecia WDK zorganizowano 399 seminariów i 33 kursy kulturalno-oświatowe dla pracowników z terenu. W ciągu ostatnich ośmiu lat zanotowano 2 256 wyjazdów pracowników i konsultantów WDK na terenie województwa.

* * *

Wszystkie wojewódzkie domy kultury, o których mowa, odbiegły (w różny sposób i niejednakowo daleko) od dawnego schematu „świetlicy — giganta". Główny ciężar zainteresowań kładą na sprawę instruktażu i poradnictwa w terenie. Jest to rzecz nieodzowna. Mimo wielkich przecież nakładów finansowych państwa, „ teren" tym silniej ujawnia swoją kulturową dziwiczość i swoje kulturowe zapotrzebowania. Im większa kulturowa penetracja terenu, im więcej powiatowych i miejskich domów kultury, klubów i wiejskich klubo-kawiarni, tym większe zapotrzebowanie na wartości oświatowe i artystyczne.

Właściwie jedyną instytucją czuwającą nad tym, co się dzieje z kulturą w terenie, jest poradnia kulturalno-oświatowa przy wojewódzkim domu kultury. W ostatnich latach powstała również sieć powiatowych poradni kulturalno-oświatowych. Założenie interesujące, lecz już teraz może być tematem polemicznych artykułów. Takie poradnie są często tworzone przy wydziałach kultury powiatowych rad narodowych. Cała „poradnia" to zwykle... jedna osoba. Przeważnie bardzo młoda i niedoświadczona (bo kto inny zechce przyjść na pensję w granicach 1200 zł, bez specjalnych widoków na podwyżkę?) angażowana też najczęściej przez miejscową radę narodową, a nie przez jakąś jednostkę nadrzędną, prowadzącą konsekwentną politykę kulturalną. Brak rąk do pracy w samym wydziale kultury powoduje, że nierzadko taki młody „powiatowy poradnik" staje się po prostu pomocnikiem do wszystkiego. Tam, gdzie powiatowe poradnie mieszczą się przy powiatowych domach kultury (lub przy zakładowych domach kultury), rzecz ma się lepiej. Nawiasem mówiąc, w skali krajowej, chyba tylko Lubelszczyzna posiada prawie pełną siatkę poradni powiatowych i powiatowych domów kultury. W Białymstoku nie każdy powiat

(Dokończenie na str. 13)

II Zjazd Międzywojewódzkiego Klubu Pisarzy Ludowych

Dogodny klimat

II ZJAZD Międzywojewódzkiego Klubu Pisarzy Ludowych, zorganizowany w Lublinie w dniach 24—25 czerwca br., zgromadził 60 twórców reprezentujących wszystkie regiony naszego kraju. Najliczniej były reprezentowane województwa: krakowskie i lubelskie. Zjazd spotkał się z dużym zainteresowaniem ze strony władz i społeczeństwa, o czym świadczy fakt, że wśród gości znaleźli się m. in.: sekretarz KW PZPR, Edward Machocki, wiceprzewodniczący Prez. WRN, Jan Siewierski, wiceprezes WK ZSL, Stanisław Lejwoda, kierownik Wydziału Kultury PWRN Zbigniew Frąc, prezes Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich, Zygmunt Mikulski, jak też przedstawiciele świata nauki, instytucji kulturalno-oświatowych, prasy, radia i telewizji. Życzenia owocnych obrad przekazał zebranym minister Kultury i Sztuki Lucjan Motyka. Jeżeli do tych faktów doda się jeszcze i to, że wszystkie lubelskie pisma, a więc „Kamena", „Sztandar Ludu" i „Kurier Lubelski" poświęciły Zjazdowi specjalne kolumny, podobnie zresztą jak „Chłopska Droga", że w okresie obrad ukazały się trzy pozycje książkowe: „Wieś tworząca II", „Wiersze proste jak życie" oraz „Obrazy i wiersze" — bez przesady można będzie stwierdzić, iż lubelski sejmik twórców spod strzechy otrzymał wyjątkowo uroczystą oprawę. A przecież trzeba jeszcze wspomnieć o dwóch wystawach: malarstwa prymitywnego i polskiego piśmiennictwa ludowego XX wieku, o wieczorze autorskim, na który złożył się montaż poetycki i gawędy, nie mówiąc już o pięćdziesięciu spotkaniach zorganizowanych przez Towarzystwo Wiedzy Powszechnej w kilku powiatach województwa lubelskiego. (Był to czyn społeczny członków MKPL dla uczczenia Tysiąclecia Państwa Polskiego).

Program Zjazdu był bardzo bogaty. W pierwszym dniu zebrani wysłuchali dwu referatów: Stanisława Czernika pt. „Wkład oraz znaczenie literatury i pisarstwa ludowego w dorobek literatury narodowej" oraz Romana Rosiaka „Współczesna literatura ludowa, jej miejsce i znaczenie". Oba te wystąpienia, jak też przemówienie wstępne wiceprzewodniczącego PWRN, Jana Siewierskiego, stały się podstawą do ożywionej dyskusji, w której podnoszono konieczność dopracowania się nowych kryteriów oceny współczesnej literatury ludowej. Zastanawiano się nad powiązaniami dzisiejszego pisarstwa chłopskiego z tradycją, próbowano nakreślić perspektywy na najbliższe lata, starano się scharakteryzować i zanalizować aktualny stan literatury w Polsce.

Niemal wszyscy dyskutanci byli zgodni co do przewidywań rychłego końca tradycyjnej literatury ludowej w takiej postaci, w jakiej występowała ona jeszcze do niedawna. Nowe warunki społeczno-polityczne i kulturalne spowodowały, że musiała się ona zmienić zarówno od strony formalnej, jak też ideowo-wychowawczej. Jest jednak rzeczą godną podkreślenia, że — wbrew dosyć często spotykanym głosom krytyki — poezja chłopska nie tylko nie ginie, ale przeżywa wyraźny renesans. Podobnie zresztą rzecz przedstawia się z malarstwem, wycinanką, kowalstwem artystycznym i innymi dziedzinami sztuki ludowej. Trzeba zatem mówić nie tyle o schyłku samorodnej twórczości chłopskiej, ile o jej nowym etapie i dalszych perspektywach rozwoju.

Sytuacja współczesnego pisarza ludowego znalazła też wyraźne odbicie w czasie dyskusji w drugim dniu obrad, poświęconym sprawom organizacyjnym Klubu. Wyraźnie specyzowano rolę poety w swoim środowisku, zwłaszcza jeśli chodzi o inspirowanie czynów społecznych i czynny udział w życiu społecznym, politycznym, kulturalno-oświatowym. Z satysfakcją warto też odnotować, że sami pisarze zwrócili uwagę na konieczność zaostrzenia kryteriów oceny ich twórczości. Chodzi o to, by poprzez publikowanie wyłącznie najwartościowszych pod względem ideowo-artystycznym utworów podnosić autorytet pisarza ludowego, który nie powinien korzystać z żadnej tzw. „taryfy ulgowej".

Zjazd dokonał wyboru nowych władz Klubu. Na czele 10-osobowego zarządu ponownie stanął Bronisław Pietrak. Zebrani jednomyślnie poparli inicjatywę zarządu w sprawie kontynuowania prac nad przekształceniem Klubu w Stowarzyszenie Pisarzy Ludowych. W zatwierdzonych planach na najbliższą przyszłość przewiduje się również prowadzenie — podobnie jak dotychczas — szeroko zakrojonej akcji spotkań autorskich, których odbyło się już 200. Zarząd Klubu w porozumieniu z władzami podejmie też niezbędne kroki, których efektem powinno stać się rozszerzenie bazy edytorskiej i jeszcze większe zacieśnienie kontaktów z prasą. W dalszym ciągu będzie prowadzona praca nad rejestrowaniem twórców chłopskich, oceną ich dorobku — i co się z tym wiąże — powiększaniem szeregów członków Klubu.

Popularyzacji twórczości ludowej służyć będą konkursy. Pierwszy wewnętrzny konkurs poetycki rozstrzygnięty w czasie Zjazdu przyniósł następujące rezultaty: I nagrodę przyznano ex aequo Hance Nowobielskiej z Białki Tatrzańskiej, pow. Nowy Targ i Janowi Pockowi z Kalenia, pow. Puławy, II — Stanisławowi Buczyńskiemu z Hrubieszowa, Piotrowi Krzykalskiemu z Nowego Sącza i Adamowi Pachowi z Zakopanego, III — Helenie Waligórze z Białki Tatrzańskiej, pow. Nowy Targ, Władysławowi Kuchcie z Mołodutyna, pow. Chełm, Emilii Michalskiej z Pruchny, pow. Cieszyn, Józefowi Malkowi z Bożego Daru, pow. Bychawa i Józefowi Ceynowie z Koronowa, woj. bydgoskie. Ponadto przyznano dwanaście wyróżnień książkowych.

Drugi Zjazd Międzywojewódzkiego Klubu Pisarzy Ludowych stał się doskonałą okazją do podsumowania dotychczasowego dorobku i wykazania, jak żywe i trwałe są tradycje twórczości ludowej w Polsce, twórczości, która w oparciu o stworzony dla niej zwłaszcza w Lublinie dogodny klimat może myśleć z optymizmem o przyszłości.

(R. R.)

EDWARD ZOLOWSKI

Pozdrowienia

pozdrawiam cię Ziemio muzyką i śpiewem
zawartością płotów — aleją kamieni
— gdzie dachy parują obłokami światła
uwerturą wiatrów — głębokością cieni

pozdrawiam się Drzewo — gałązko wierzbowa
melodio zielona wycinana z kory
zasłuchana w łąkach Wielką Niedźwiedzicą
orbitami kropel — krajobrazem zorzy

pozdrawiam cię Chłopko nad zwierciadłem skiby
wyciskanej z wina aby twarz malować
pielęgnujesz kwiaty i otwierasz okna
by chlebem i solą wiersze recyłować

pozdrawiam cię Ziemio ptakami słynąca
co dzień bliżej ciebie bogatszy o zegar
w którym tyle zgrzytów — jałmużny i bogactw
mądrości w powiekach — modlitw i wesela

Rzeszów

EDWARD ZYMAN

Przekonywanie do miasta

A zobacz w tym mieście domy stojące na baczność,
wzrastające w niebo siwą ręką dymu.
Zobacz w moim mieście ciszę, która jest jak
wieża strzelająca ciepłą kulą słońca.

Uwierz: tutaj kamień opowiada wierszem,
drzewa się chylą na kolanach sztywnych
kiedy idziesz szybko, gdy przemykasz śpiesznie,
Na kwadratach chodnika zostawiając oddech.

Radomsko

Białystok

START OD ZERA

DWADZIEŚCIA trzy tysiące sto czterdzieści sześć kilometrów kwadratowych, czyli 7,6 proc. powierzchni Polski. Pod względem wielkości województwo białostockie zajmuje więc czwarte miejsce w kraju; wyprzedzają je tylko: warszawskie, poznańskie i lubelskie. Obszar województwa obejmuje dwie krainy geograficzno-fizyczne: Pojezierze Mazurskie i Nizinę Mazowiecką. Dzieli się administracyjnie na 20 powiatów, w tym jeden miejski (Białystok). Kilka powiatów (ełcki, gołdapski i olecki) obejmuje tereny odzyskane w wyniku rozgromienia hitlerowskich Niemiec.

Powojenny start był szczególnie trudny. W okresie poprzedzającym Wrzesień 1939 r. zastój w ekonomicznym i społecznym rozwoju dotyczył ze szczególną siłą Białostocczyzny, regionu oficjalnie zwanego Polską B.

— *W tym pojęciu* — stwierdza I sekretarz KW PZPR poseł Arkadiusz Łaszewicz — *mieści się i najniższy wskaźnik zatrudnienia w przemyśle, i najkrótszy wiek życia ludzkiego, i prymityw gospodarki. W międzywojennym dudziestoleciu nie zbudowano na Białostocczyźnie ani jednego większego zakładu przemysłowego. Stale pogłębiał się proces przeludnienia wsi, rosła nędza wiejskiej biedoty.*

Trzy przyczyny hamowały rozwój przemysłu: niekorzystne położenie geograficzne regionu, brak zasobów wartościowszych surowców kopalnych, antyludowa polityka ówczesnych rządów.

Prywatni właściciele, obce koncerny wolały inwestować w regionach posiadających dogodniejsze warunki lokalizacyjne. Wskutek tego w ciągu 31 lat — od 1907 r. do 1938 r. — zatrudnienie w przemyśle woj. białostockiego wzrosło zaledwie o 6,3 tys. osób (z 17,6 tys. do 23,9 tys.). W niektórych, czołowych dla województwa, gałęziach przemysłowych sytuacja zamiast się polepszać — pogarszała się. I tak np. w 1895 r. w białostockim przemyśle włókienniczym pracowało 9,3 tys. osób, podczas gdy w 1938 r. zaledwie 7,1 tys., a więc przemysł ten do końca międzywojennego dwudziestolecia nie przekroczył poziomu w 1895 r.

Dodajmy, że olbrzymią większość zakładów stanowiły przedsiębiorstwa małe, pochodzące przeważnie z końca XIX wieku i sprzed pierwszej wojny światowej, wyposażone w przestarzałe maszyny i urządzenia techniczne.

Tragiczna sytuacja panowała również w rolnictwie. Przeludniona wieś białostocka miała 86 tys. „zbędnych rąk do pracy", a rozdrobnione gospodarstwa chłopskie w prymitywnych warunkach uprawiały zboża, których plony kształtowały się w granicach 9,2 q z ha.

Kryzys w przemyśle i rolnictwie pogłębił się w okresie okupacji hitlerowskiej i działań wojennych. Specjalne oddziały „Brandkommando" wywoziły, co się tylko dało i niszczyli wszystko to, czego nie można było zrabować.

Z chwilą wyzwolenia 76 proc. obiektów włókienniczych leżało w gruzach. W przemyśle spożywczym straty szacowano na 77 proc. W przemyśle drzewnym zniszczeniu uległy tartaki w Hajnówce, Augustowie, Płocicznie, Czarnej Wsi, fabryka sklejek w Białymstoku. Łącznie ocenia się, że straty wojenne w przemyśle wyniosły ok. 80 proc. zarówno w budynkach przemysłowych jak i w parku maszynowym. Tak więc w istocie II wojna światowa prawie całkowicie przekreśliła na Białostocczyźnie kapitalistyczny proces industrializacji trwający około 120 lat.

Poważne straty poniosła również wieś. Zniszczeniu uległo około 120 tys. budynków mieszkalnych i gospodarczych, znacznie spadło pogłowie zwierząt. W 1944 r. województwo posiadało zaledwie 25 proc. stanu przedwojennego bydła, 25 proc. — trzody chlewnej, 35 proc. owiec i 49 proc. koni. Ogólną wartość strat w inwentarzu żywym ocenia się na ponad 2 miliardy złotych, a w sumie straty w budynkach i inwentarzu żywym przekroczyły znacznie kwotę 8 miliardów złotych (wg cen z 1958 r.).

Trudne warunki gospodarowania znalazły odbicie w spadku wydajności. W 1946 r. zebrano z hektara 7,7 q żyta (w latach 1934—1938 przeciętnie 10,5 q), 7 q pszenicy (9,2 q przed wojną), 6,9 q jęczmienia (9,7 q), 6,3 q owsa (9,5 q), 105 q ziemniaków (120 q).

Taki był start powojenny. Bez przesady można powiedzieć, że zaczynano, zwłaszcza w przemyśle, niemal od zera.

Sekretarz KW PZPR, Sergiusz Rubczewski, w rozmowie z przedstawicielem „Kameny" scharakteryzował poszczególne etapy odbudowy i rozbudowy przemysłu. Konkluzja wywodów: dokonano bezprzecznie wiele, aczkolwiek nakłady inwestycyjne były w zasadzie niższe niż średnia krajowa.

W planie 6-letnim wybudowano bądź przystąpiono do budowy takich zakładów jak: Białostockie Zakłady Przemysłu Bawełnianego w Fastach, Zambrowskie Zakłady Przemysłu Bawełnianego, Bielsko-Podlaskie i Ełckie Zakłady Roszarnicze, Fabryka Przyrządów i Uchwytów w Białymstoku, Białostockie i Suwalskie Zakłady Piwowarsko-Słodownicze, Augustowska Fermentownia Tytoniu, Kopalnia i Zakłady Kredy w Mielniku, Suwalskie Kamieniołomy Drogowe, tartak w Czarnej Białostockiej.

Dzięki tym inwestycjom i szeregu mniejszym w 1956 r. uzyskano prawie 4,5-krotny wzrost zatrudnienia w porównaniu z rokiem 1946 oraz przekroczono o 51,2 proc. stan zatrudnienia z 1938 r.

Ale kraj również nie stał w miejscu. Wartość produkcji globalnej przemysłu przypadająca ogółem na jednego mieszkańca w województwie w 1956 r. osiągnęła 2.946 zł przy średniej krajowej 9.448 zł, co stanowi zaledwie 31 proc. poziomu średniokrajowego.

W następnych latach Białostocczyzna wzbogaciła się o dalsze obiekty przemysłowe. Można tu m. in. wymienić tkalnię w Zambrowskich Zakładach Przemysłu Bawełnianego, Zakłady Przemysłu Pasmanteryjnego w Grajewie, przędzalnię, tkalnię kolorową, farbiarnię i wykańczalnię w ZPB w Fastach, Zakłady Suchej Destylacji Drewna w Hajnówce, Fabrykę Obuwia w Augustowie czy Zakłady Silikatowe w Białymstoku. Szczególne znaczenie ma przekazanie do użytku wykańczalni w ZBP w Fastach. Zakład uzyskał możliwość produkcji tkaniny z pełnym wykończeniem, co stworzyło możliwość bezpośredniego eksportu wyrobu. Podstawowym włókniem przerabianym przez fastowski kombinat jest elana produkowana w Toruniu.

W sumie nakłady inwestycyjne w przemyśle białostockim wyniosły w ciągu ostatniego dziesięciolecia około 4,5 miliarda złotych. Nie mniej województwo nadal należy do najniżej uprzemysłowionych obszarów Polski i, co gorsze, dynamika wzrostu przemysłowego zamiast wyprzedzać pozostaje w tyle za innymi, bardziej uprzemysłowionymi, województwami. Udział Białostocczyzny w globalnej produkcji przemysłowej kraju wynosił w 1964 r. zaledwie 1,3 proc. (tyle samo, co woj. olsztyńskiego) i o 0,2 proc. więcej niż woj. koszalińskiego). Odpowiednie dane dla pozostałych województw wschodnich wynosiły w 1964 r.: woj. kieleckie 3,5 proc., woj. lubelskie 2,9 proc., woj. rzeszowskie 3,9 proc. Liczby te mają swoją wymowę, aczkolwiek trzeba nadmienić, że w 1950 r. udział woj. białostockiego w globalnej produkcji przemysłowej kraju wynosił zaledwie 0,7 proc.

Edward Szczepański, zastępca przewodniczącego Prez. WRN, rozmawiając z nami, szczególną uwagę poświęcił problemowi miejscowych rezerw. Jest to zagadnienie szerokie, złożone i jeszcze nie w pełni docenione, aczkolwiek sytuacja stale się poprawia.

Rezerwy to m. in. plecionkarstwo, wyroby ze słomy. Wystartowano z tą produkcją w 1960 r. uzyskując pierwsze 2 miliony złotych. Obecnie całkiem realna jest już produkcja wartości 50 milionów zł i to bez żadnych nakładów inwestycyjnych.

Druga pokrewna sprawa to eksploatacja i przetwórstwo trzciny. O ile w 1960 r. województwo uzyskało tylko 125 tys. wiązek trzciny, to w 1965 r. — ponad 400 tys.

Trzecia — wzrost upraw wikliny, która do końca obecnej pięciolatki powinna zająć ponad 700 ha ziemi. Rozwój tej produkcji zagwarantuje zatrudnienie prawie 1 300 osób, w tym tysiąca chałupników.

— *Opracowaliśmy* — stwierdza Edward Szymański — *kompleksowy program aktywizacji województwa na lata 1966—1970. W ramach usług i drobnej wytwórczości (łącznie z chałupnictwem i rzemiosłem) pragniemy zatrudnić 22 tys. osób. Drobna wytwórczość może z powodzeniem wspierać rozwój przemysłu kluczowego.*

Na Wojewódzkiej Konferencji PZPR w maju 1964 r. Zenon Bernen, przewodniczący Wojewódzkiej Komisji Planowania Gospodarczego, zwrócił uwagę na konieczność — a ta sprawa jest szczególnie istotna dla Białostocczyzny — kompleksowego rozpatrywania potrzeb inwestycyjnych rolnictwa i przemysłu, bowiem właśnie kompleksowość i koncentracja środków mogą bardzo poważnie przyspieszyć tempo rozwoju województwa.

„Kierując się tą zasadą — mówił — *stawiamy na rolnictwo i przetwarzanie wyprodukowanych płodów rolnych".*

Rolnictwo jest jednak niedoinwestowane. To prawda, że w porównaniu z 1946 r. ponad dwukrotnie wzrosły plony z hektara, ponad czterokrotnie pogłowie bydła, a ponad siedmiokrotnie pogłowie trzody chlewnej ale...

„...Około 300 tys. ha użytków zielonych i ponad 300 tys. ha gruntów ornych — znów zacytujemy Zenona Bernena — *wymaga uregulowania stosunków wodnych i zwiększenia przez to wartości produkcyjnej gleby. Na ogólną liczbę stu tysięcy ciągników w kraju, na naszych polach pracuje tylko 3 tys., czyli 3 proc., a użytków rolnych posiadamy przecież 7 proc. Otrzymujemy przydział nawozów sztucznych równający się tylko 3 proc. zaopatrzenia krajowego, natomiast produkcja globalna naszego rolnictwa stanowi 6,2 proc. globalnej produkcji rolnej naszego kraju. Udział kredytu bankowego dla naszego rolnictwa wynosi ok. 4 proc. sumy krajowej, natomiast liczba gospodarstw chłopskich — 5 proc.*

...Słyszy się niekiedy, że inwestycje ulokowane w białostockim rolnictwie są mniej rentowne niż w innych dzielnicach kraju. Tymczasem sytuacja jest taka, że w latach 1961—1963 przyrost wartości produkcji globalnej rolnictwa wyniósł w woj. białostockim 3.393,3 mln złotych (wg cen porównywalnych), a zainwestowano w tym czasie w rolnictwie w planie terenowym 1.234,4 mln zł. Daje to na każdą złotówkę inwestycji 2,75 zł przyrostu wartości produkcji globalnej, podczas gdy średnia krajowa wynosi 1,64 zł. Wynika z tego, że w białostockie rolnictwo opłaca się inwestować".

Mówca zwrócił również uwagę na konieczność intensywniejszego rozwoju przemysłu materiałów budowlanych. Woj. białostockie sprowadza z innych województw, odległych o ponad 500 km, rokrocznie ponad 60 mln jednostek ceramicznych materiałów ściennych. Wskutek tego budownictwo województwa białostockiego jest rocznie droższe o 20 mln zł, tj. o koszty transportu. By nie dopuścić do wzrostu nieekonomicznych przerzutów materiałów ściennych należy w następnej pięciolatce wybudować około 8 cegielni, 2 zakłady prefabrykatów i 2 kaflarnie.

Jak stwierdził sekretarz KW, Sergiusz Rubczewski, problem ten zostanie zapewne pozytywnie rozwiązany.

* * *

Celowo skoncentrowaliśmy uwagę na sprawach przemysłu i rolnictwa. O problematyce kulturalnej województwa pisaliśmy już niejednokrotnie, rozwojowi budownictwa w Białymstoku — a miasto to rzeczywiście ma się czym pochwalić — poświęcimy osobny materiał. Niżej reprodukowany rysunek przedstawia projekt osiedla Centrum w Białymstoku. Rzeczywiście imponujący.

Nie wychodziliśmy z założenia, że materiał z okazji 22 Lipca ma stanowić tylko laurkę. Miejscowe władze, aczkolwiek widzą osiągnięcia, nie chciałyby na nich poprzestawać, stąd ich ciągły niepokój, twórczy niepokój. I ten niepokój ma duży ładunek optymizmu. To cieszy.

(j)

MATERIAŁY POMOCNICZE: Wiktor Cyuńczyk, Ryszard Horodeński: „Przemysł wczoraj i dziś w województwie białostockim", Eugeniusz Zdrojewski: „Rozwój podstawowych gałęzi rolnictwa", „Województwo białostockie w liczbach — 1964", „Materiały z Konferencji Wojewódzkiej PZPR" Wojewódzki i powiatowe programy wyborcze FJN.

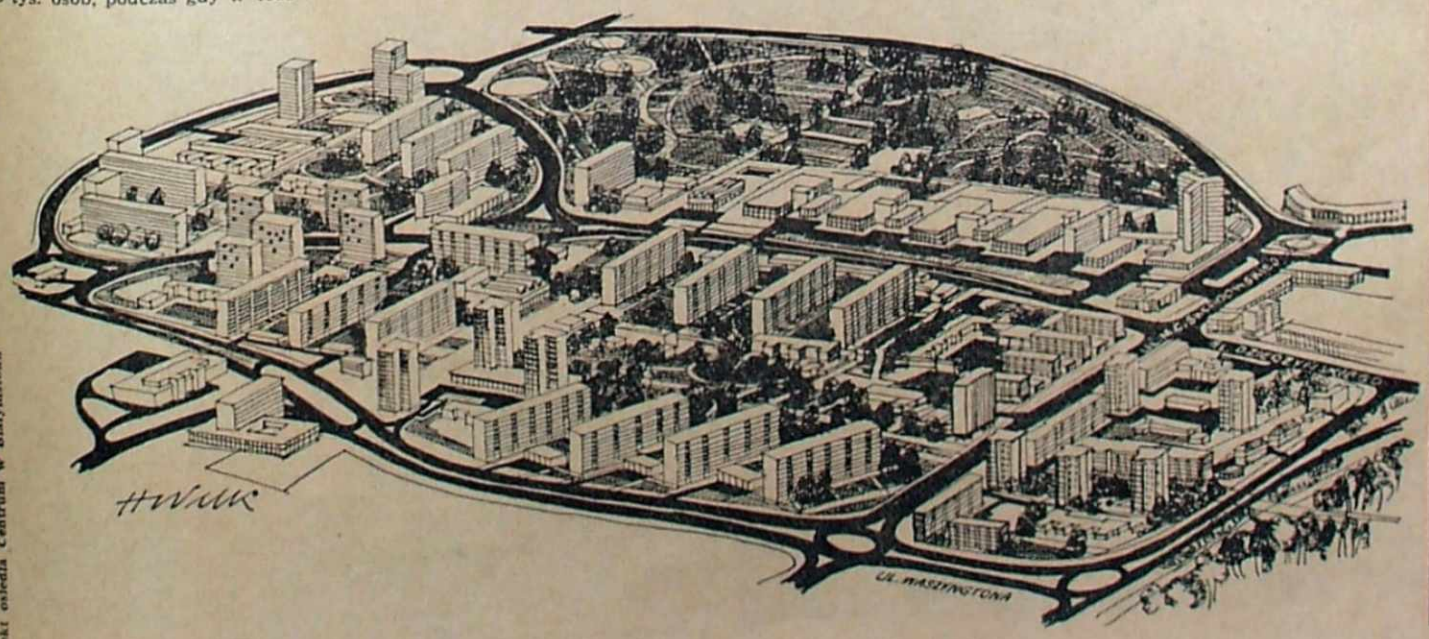

Rys. H. Wilk

Projekt osiedla Centrum w Białymstoku

Kielce

KAMIEŃ NA KAMIENIU

SZEŚĆ i pół procent powierzchni Polski to województwo kieleckie. Chyba najbardziej urozmaicone jeżeli chodzi o gleby: czarnoziemy, lessy, piaski, bielice, szczerki, rędziny, torfy... Pod nimi wielkie bogactwa mineralne, nad nimi dużo lasów — prawie czwarta część powierzchni. Część z tych lasów, występująca w pierwotnej formie, wchodzi w skład Narodowego Parku Świętokrzyskiego. Niezwykle bogata przeszłość historyczna. Od prehistorycznego zagłębia metalurgicznego przez państwo Wiślan, działalność arianów, Insurekcję Kościuszkowską, powstanie styczniowe, niezwykle potężnie rozbudowany ruch partyzancki w czasie ostatniej wojny — zawsze w czołówce, zawsze z dużym wkładem. Kraina Reja i Kochanowskiego, Żeromskiego i Sienkiewicza, Dygasińskiego i Konarskiego.

Dzisiejsza Kielecczyzna to województwo rolniczo - przemysłowe. Start powojenny to strata 300 tysięcy ludzi, wymordowanych przez okupanta, to czwarta część żyjącej ludności bez dachu nad głową. Szybki rozwój przemysłu doprowadził do tego, że już w 1950 r. udział w produkcji krajowej wynosił 3 proc., obecnie 3,5 proc. Szczególny rozkwit przeżywa przemysł metalowy. Huta im. Marcelego Nowotki w Ostrowcu Świętokrzyskim, Fabryka Samochodów Ciężarowych w Starachowicach, zakłady „Iskra" w Kielcach to sztandarowe obiekty, znane także daleko poza granicami kraju. Przemysł metalowy zatrudnia dziś 70 tysięcy ludzi. Przemysł elektromaszynowy oraz metalurgiczny to połowa wartości ogólnej produkcji, to równocześnie połowa zatrudnionych w całym przemyśle.

W kilkunastu ostatnich latach wskaźnik wzrostu produkcji przemysłowej jest wyższy niż przeciętny dla całego kraju. W rezultacie przemysł metalowy to druga — po woj. katowickim — potęga kraju, tak samo przemysł porcelanowo-fajansowy, przemysł skórzany zajmuje trzecie miejsce, a materiałów budowlanych piąte.

Właśnie — przemysł materiałów budowlanych. Mówi się niby żartem, a w rzeczywistości na serio, że Kielecczyzna na kamieniu stoi. Ale nie jest to zwykły, mało użyteczny kamień.

— *Prawie 80 proc. wapieni jurajskich, 57 proc. innych wapieni, po 30 proc. dolomitów i piaskowców to właśnie woj. kieleckie* — mówi wiceprzewodniczący Prezydium WRN Dziekan. — *Co więcej: 90 proc. zasobów krajowych gipsu leży właśnie tutaj. W okolicach Łagowa są jedyne w tym rodzaju kwarcyty w Polsce. I jeszcze: 30 proc. pokładów siarki, 50 proc. piasków szklarskich, podobno nawet 90 proc. fosforytów. Ostatnio w Pińczowie uruchomiono drugi w Polsce zakład, posiadający „diamentową piłę" do krajania na płyty wszelkiego rodzaju marmurów, zwożonych tu w blokach z całej Polski, nie wyłączając dolnośląskich kamieniołomów.*

Olbrzymie to bogactwo dla całego kraju. Zresztą mowa tu tylko

(Dokończenie na str. 8)

KAMIEŃ NA KAMIENIU

(Dokończenie ze str. 7)

o tym, co już znamy, co mniej lub więcej dokładnie zostało zbadane. Jakie jeszcze skarby kryje ziemia kielecka pokaże niewątpliwie przyszłość.

Nie dziwnego, że władze wojewódzkie czynią wszelkie możliwe wysiłki, aby te bogactwa co szybciej w pełni wykorzystać. Mimo więc, że w bieżącej pięciolatce na rozbudowę przemysłu materiałów budowlanych województwo otrzymuje ok. 5 miliardów złotych — zabiegają o dodatkowe miliony. No i rzeczywiście chodzi tu nie tylko o samo województwo, ale i dostawę tych materiałów do innych, a zwłaszcza sąsiednich, gdzie deficyt budulca jest szczególnie ostry.

Komplikuje się cała sprawa przez to, że chodzi nie tylko o nakłady na same kamieniołomy, wydobycie i przeróbkę surowca, ale i o transport wielu milionów ton rocznie. To prawda, że po wojnie oddano do użytku linie kolejowe Radom — Tomaszów, Sitkówka — Busko, Kielce — Częstochowa i Skarżysko — Bodzechów.

— *Ale część z tych linii ma znaczenie tylko lokalne, nie otwiera wielkich dróg transportu* — wyjaśnia przewodniczący Prezydium WRN Antoni Mierzwiński. — *Aby, dla przykładu, wykorzystać owe jedyne w kraju kwarcyty pod Łagowem, trzeba wybudować 35 km nowej linii kolejowej. Niezbyt dużo, ale to kosztuje ok. 140 milionów zł. W wyniku interwencji władz wojewódzkich przed kilku tygodniami komisja sejmowa zjechała na miejsce, zapoznała się dokładnie z całą sprawą i jednomyślnie orzekła, że ową kolej trzeba budować. Wszyscy są za, przynajmniej nikt nie mówi nie, ale wiążącej decyzji wciąż brakuje.*

Dodajmy, że Ministerstwo Komunikacji, podobnie jak poprzednio w przypadku linii do Biłgoraja w woj. lubelskim, powiada: najpierw niech będzie przemysł — potem zbudujemy kolej. A przemysł powiada: abyśmy mogli wybudować i uruchomić zakłady, musimy najpierw mieć kolej. No i rozważania innego typu: czy to ma być bocznica, budowana z partycypacji poszczególnych przemysłów, czy też normalna, eksploatacyjna linia, budowana z pieniędzy kolei. Ostatecznej odpowiedzi wciąż brak, a czas ucieka.

Wiele niespodziewanego kłopotu sprawia też województwu słynny zakład gipsowy „Dolina Nidy". Zbudowany z rozmachem — do dziś nie jest w pełni wykorzystany. Wbrew doświadczeniom światowym, wbrew przychylnym opiniom instytutów naukowych — budownictwo nie chce używać gipsu. Suche tynki z trudem torują sobie drogę na pojedyncze budowy, nie mogą podbić kraju. Ostatnio opracowano nowe typy płyt na ścianki działowe w mieszkaniach oraz pustaki na stropy, mocniejsze a lżejsze od wyrabianych tradycyjnie z żużla. Mają wielkie szanse na zrobienie kariery. Czy zrobią — to troska i producentów i ojców województwa.

Poważną trudnością w tej dziedzinie jest i to, że zakłady przemysłu materiałów budowlanych w woj. kieleckim podlegają aż 7 ministerstwom, w ich ramach zaś 22 zjednoczeniom. Każde z tych zjednoczeń widzi tylko własny interes. Dochodzi do tego, że w Bukowej gromadzi się na hałdach jako rzekomo bezużyteczne odpady kamienie, nadające się świetnie do przerobu w zakładach cementowo-wapienniczych w Nowinach. Ale Nowin, nie bez poważnych przecież nakładów, wydobywają taki sam kamień u siebie i nie chcą odbierać „odpadów" z pobliskiej Bukowej. Takich przykładów jest więcej. Skoordynowanie tej całej produkcji, nadanie jej jednego, ściśle kooperującego ze sobą kierunku — oto pilne zadanie na najbliższą przyszłość.

Tak już jest, że ziemia nie chce być nadmiernie bogata. Kryjąc skarby wewnątrz, nie jest zbyt urodzajna na powierzchni. Stąd i wydajność rolnictwa należy do niższych w Polsce, plony są gorsze od przeciętnych w kraju. Przyczyny na ogół te same, co w woj. lubelskim, ale i poprawa, chociaż w nieco wolniejszym tempie, też widoczna. Dodatkową przeszkodą jest olbrzymie rozdrobnienie gospodarstw. Na 1,3 mln ha przypada 327 tys. gospodarstw rolnych. To przeszkadza mechanizacji i — wbrew pozorom — hamuje w pewnym stopniu wzrost kultury rolnej. Przeludnienie wsi sprawia, że co roku ok. 8 tys. ludzi przenosi się na stałe do innych województw, wielu innych mniej lub więcej systematycznie dojeżdża do pracy poza województwo.

Rozbudowa przemysłu, a w konsekwencji napływ ludności do miast, spowodowały duży wzrost budownictwa mieszkaniowego. W roku 1964 Kielecczyzna otrzymała do użytku ponad 23 tysiące izb mieszkalnych, dystansując trzy pozostałe województwa. Największą nową dzielnicą, powstałą po wojnie, to Osiedle 15-lecia w Radomiu, gdzie mieszka 9,5 tys. ludzi. W nowych osiedlach Milica w Skarżysku i im. Hanki Sawickiej w Ostrowcu Świętokrzyskim po 6,5 tys. ludzi, w starachowickim Wierzbniku i kieleckim Szydłówku po 4,5 tys. Przed wojną tylko 5 miast posiadało wodociągi — dzisiaj 16. Komunikacji miejskiej nie było w żadnym, dziś w siedmiu miastach jeździ się autobusami. Miejsc w kinach jest 4 razy więcej. W ostatnim przedwojennym roku szkolnym na 100 dzieci tylko 16 mogło się uczyć w pełnoklasowych szkołach podstawowych — dzisiaj 97.

Walory geograficzne i tradycje historyczne sprawiły, że Kielecczyzna staje się prawdziwym zagłębiem turystycznym. Tradycyjny, mały obszar turystyczny w okolicach św. Katarzyny i św. Krzyża rozrósł się niemal na całe województwo. Bardzo urozmaicone trasy, zróżnicowane zabytki dają możliwość uprawiania różnych form turystyki, z której korzysta coraz więcej ludzi. W ubiegłym roku, mimo niesprzyjających przecież warunków atmosferycznych, przyjechało spoza województwa ponad pół miliona turystów i wczasowiczów — o 11 procent więcej niż w roku poprzednim. Turystykę wewnątrzwojewódzką ocenia się na milion ludzi. Nie brakuje i cudzoziemców — w roku ub. 14,5 tys. Na rok bieżący przewiduje się w sumie ok. 800 tys. turystów i wczasowiczów spoza województwa, za 5 lat już ok. 2 mln.

Zapewnienie odpowiednich warunków tej szybko narastającej fali turystów jest wielką troską władz i zainteresowanych instytucji. Wojewódzki Komitet Kultury Fizycznej i Turystyki oraz Turystyczna Agencja Prasowa zainicjowały już w roku ub. wielką i długofalową akcję, którą oznaczono hasłem „Kryptonim 2". Kryptonim oznacza, że turystyka jest w hierarchii spraw na drugim miejscu — chyba jak w żadnym innym województwie w Polsce. Włączyły się do pracy komórki PTTK, rady narodowe wszystkich szczebli, handel, gastronomia itd.

Jednym z objawów tego szerokiego zainteresowania turystyką jest fakt, że niemal wszędzie można dostać mapy turystyczne i przewodniki po województwie czy nawet mniejszych rejonach lub zabytkach. Ostatnio ukazał się w kioskach bardzo dobry i tani „Informator turystyczny na rok 1966". Informuje dokładnie o bazie noclegowej, kwaterach prywatnych, wyżywieniu, podaje najważniejsze szlaki turystyczne, zabytki, muzea, wskazuje tereny dla wędkarzy, podaje adresy warsztatów naprawczych pojazdów mechanicznych. Przed rokiem, ze względu na trudności wydawnicze, wydany był „tylko dla użytku wewnętrznego" różnych instytucji. Teraz też nie udało go się wydrukować, wydano więc „Informator" na powielaczu, ale w dużym nakładzie tak, że zaspokaja najpilniejsze potrzeby.

W województwie działają 44 punkty informacji turystycznej, do dyspozycji wycieczek jest 240 przewodników. Większość, co zasługuje na szczególne podkreślenie, posiada wyższe wykształcenie. Do rozwoju turystyki — ale także rolnictwa, przemysłu i innych dziedzin życia — przyczyni się znakomicie szybko rosnąca sieć dróg. Kielecczyzna w budowie tych dróg zajmuje czołowe miejsce w kraju. Jak dotychczas zbudowano ok. 5 tys. km dróg o twardej nawierzchni, głównie w czynach społecznych. Osiągnięcie w skali kraju bez precedensu.

(md)

Fot. Jan Siudowski

Lublin

ZIELONE ZAGŁĘBIE

PRZY różnych okazjach nazywa się Lubelszczyznę zielonym zagłębiem. Jest zagłębie węglowe, miedziane, budowlane — dlaczego nie zielone? W pierwszej chwili każdy pomyśli o lasach, zwłaszcza, że województwo rolnicze. Rzeczywistość jednak jest zupełnie inna. Jeszcze przed 200 laty lasy zajmowały 45 proc. powierzchni dzisiejszej Lubelszczyzny. Ale już obrachunek, zrobiony po pierwszej wojnie światowej, wypadł fatalnie: zaledwie 18,6 proc. Najpierw obszarnicy w okresie międzywojennym, potem Niemcy w czasie okupacji wycięli czwartą część drzew. Dziś lasy zajmują już ponad 20 proc. — ale przecież daje to wśród innych województw zaledwie trzecie miejsce od końca.

Czarnoziemy? Chwali się nimi cała Polska — ale przecież zalegają one tylko w części dwóch powiatów — hrubieszowskim i tomaszowskim. Kilka procent powierzchni województwa. W dodatku wciąż jeszcze daleko do ich prawidłowego wykorzystania, a właściwie zagospodarowania po zniszczeniach wojennych i właśnie tu szczególnie silnej działalności różnych band w okresie powojennym.

Więc skąd to zielone zagłębie?

Nie chcę tu przytaczać nadmiaru cyfr, ale rachunek przeprowadziłem uczciwie przy pomocy specjalistów i wynik był taki: w latach średniego urodzaju Lubelszczyzna we własnym zakresie pokrywa swoje zapotrzebowanie na artykuły rolnicze. Oczywiście jednych jest nadmiar, drugich brak, trzeba prowadzić wymianę z innymi województwami — licząc jednak na ilość białka czy kalorie bilans jest zerowy. W latach dobrego urodzaju pozostają nawet pewne nadwyżki. W rezultacie tylko w latach chudych Lubelszczyzna obciąża bilans importu zbóż.

Spójrzmy na sprawę z innej strony. To trzecie z kolei największe województwo w Polsce (po warszawskim i poznańskim), ale jeżeli chodzi o liczbę ludności spada już na 6 miejsce, zresztą tuż-tuż za kieleckim. Jeżeli zaś policzyć produkcję towarową rolnictwa, to okaże się, że Lubelszczyzna zajmuje dopiero 8 miejsce, chociaż w produkcji globalnej już 3. Wniosek z tego prosty: różnicę zjadamy sami. I dlatego zapewne nasi gastrolodzy są stale przepracowani...

Dla wyciągnięcia właściwych wniosków warto przyjrzeć się nieco bliżej ilości i jakości. Ilościowo mamy najwięcej krów ze wszystkich województw. Ale gdy przeliczymy na 100 ha — zajmiemy już tylko 8 miejsce. W całościowej produkcji mleka zajmujemy dopiero 6 miejsce, a jeżeli chodzi o mleczność krów — przedostatnie. Podobnie z uprawami roślinnymi. Tylko w ziemniakach przeciętna wojewódzka jest wyższa od krajowej — w zbożach i burakach cukrowych niższa, nieraz nawet pokaźnie. A przecież, przeciętnie biorąc, ziemia nawet nieco lepsza niż w woj. poznańskim, które — właśnie z wyjątkiem ziemniaków — ma wskaźniki znacznie lepsze od krajowych.

Niewątpliwie pewną, chociaż bardzo ograniczoną rolę grają tu zawsze nieco surowsze warunki atmosferyczne, krótszy okres wegetacji. Decydują jednak inne powody. Główny to wciąż jeszcze niski, stosunkowo, poziom kultury rolnej, chociaż znacznie, wyższy niż przed wojną. Stąd tak wielki nacisk w ostatnich latach na długofalową akcję agrominimum, szkolenie rolnicze, propagandę nowoczesnych metod uprawy. Ale w ciągu kilku lat nie można odrobić wielowiekowych zaniedbań. Następnie — niskie zużycie nawozów sztucznych. Właściwie trudno mówić o zużyciu, trzeba raczej o wysokości przydziałów. A te nie tylko nie pokrywają potrzeb, ale są znacznie niższe niż dla wielu innych rejonów kraju. Przed dwoma laty wiele o tym mówiono i sytuacja się poprawia, chociaż rezultat uruchomienia puławskich Azotów, zresztą także dla rolnictwa całego kraju, będziemy mogli odnotować dopiero za dwa lata, gdy na przyszłoroczne zasiewy będzie już znacznie więcej nawozów azotowych.

I trzeci powód — najniższy, znacznie niższy od przeciętnego w kraju stosunek wartości majątku trwałego w rolnictwie do powierzchni użytkowanych gruntów. Mówiąc prosto: ogromne braki w budynkach gospodarskich i mieszkalnych, wciąż stosunkowo mało sprzętu. W dodatku najniższy w kraju wskaźnik dróg o nawierzchni twardej (dwa razy niższy od ogólnokrajowej), identycznie jeżeli chodzi o linie kolejowe. To prawda, że w czynach społecznych wybudowano prawie 900 km dróg twardych, że wartość pracy i nakładów społecznych ocenia się tu na grubo ponad 600 milionów.

Nie jest bez znaczenia fakt, że przez szereg lat utrzymywała się, nie tylko zresztą na Lubelszczyźnie, teoria, że trzeba możliwie najszybciej przekształcić województwo z rolniczego na przemysłowo-rolnicze. Wybudowano więc wiele potężnych fabryk — o czym niżej — ale jednocześnie zaniedbano prawie zupełnie rolnictwo. Stąd zaległości narosły, stąd teraz na inwestycje związane z rolnictwem wydaje się miliardy — ale na efekty trzeba jednak poczekać. I chociaż każdy rok przynosi widoczną poprawę, chociaż zmniejszamy dystans dzielący nas od innych województw — to przecież dużo czeka nas pracy, aby w pełni zasłużyć na nazwę zielonego zagłębia. Nie tylko ilościowego, ale i jakościowego, nie tylko w zbiorach, ale i w plonach. Nie może nas upajać fakt, że zajmujemy pierwsze miejsce w kraju w skupie jaj czy tytoniu, trzecie w skupie cieląt i trzody chlewnej, czwarte w produkcji cukru.

Zakłady Tłuszczowe w Bodaczowie — Fot. Andrzej Polakowski

→

W ciągu ostatnich 15 lat na inwestycje w województwie wydano ok. 40 miliardów złotych. Głównie na przemysł. W różnych miejscowościach powstały potężne fabryki, zatrudniające nieraz powyżej 5 tysięcy pracowników. Dla przypomnienia: Fabryka Samochodów Ciężarowych w Lublinie, Wytwórnia Sprzętu Komunikacyjnego w Świdniku (jedyna w krajach socjalistycznych wytwórnia helikopterów), fabryka łożysk tocznych w Kraśniku i sprzętu elektrycznego w Poniatowej, margaryny i olejów w Bodaczowie, maszyn i urządzeń prototypowych w Białej Podlaskiej, cukrownia w Werbkowicach (jedyna po wojnie zbudowana w Polsce cukrownia) itd. itd.

Nie chodzi o wyliczanie. Rzecz w tym, że z roku na rok rośnie pokaźnie nie tylko potencjał przemysłowy województwa, ale i jego udział w gospodarce krajowej. Dwa lata po zakończeniu wojny wartość produkcji globalnej przemysłu Lubelszczyzny stanowiła tylko 1,8 proc. produkcji krajowej, obecnie 3,2 proc. W przyszłym roku, po uruchomieniu Azotów I, udział jeszcze pokaźniej wzrośnie. Na ten niewątpliwy postęp można spojrzeć z dwóch stron. Jedni powiedzą: byliście tak zacofani w przemyśle, że teraz łatwo rosnąć. Ale chyba tylko pierwsza część tego zdania jest słuszna — byliśmy bardzo zaniedbani. Rosnąć jest rzeczywiście łatwo, ale trzeba pamiętać, że przecież inne województwa nie czekały bezczynnie, że nowe inwestycje powstawały w całym kraju, że wszędzie notowano szybki postęp. Jeżeli więc w tej ostrej konkurencji przesuwaliśmy się jednak systematycznie do góry, dowód to, że odrabiamy te zaległości szybciej niż inni.

Oczywiście industrializacja pociąga za sobą wiadome skutki: rozrost miast, ogólne podniesienie się poziomu kultury i cywilizacji, coraz większy dopływ gotówki do rąk ludności. Lublin należy do trzech miast w kraju najszybciej rosnących jeżeli chodzi o liczbę ludności, przy fabrykach powstały trzy zupełnie nowe miasta — Świdnik, Kraśnik Fabryczny i Poniatowa. O wzrastającej zamożności wsi świadczy fakt, że co roku chłopi buduja indywidualnie ok. 24 tysiące budynków.

Trudno w krótkim wywodzie nakreślić pełną sylwetkę województwa, jeżeli nie ma to być skrót encyklopedyczny. Trzeba jednak jeszcze zwrócić uwagę na fakt bez precedensu w naszej historii. Lublin staje się również zagłębiem wyższych uczelni. Warszawa, Kraków, Poznań czy Wrocław mają stare tradycje w tej dziedzinie. Lublin przed wojną miał tylko jedną skromną wyższą uczelnię i to o specyficznym charakterze — dzisiaj ma ich 5. UMCS powstał — rzecz również bez precedensu i to w historii świata — gdy kilkadziesiąt km od miasta toczyła się jeszcze najbardziej krwawa wojna. Na budowę i wyposażenie gmachów dla wyższych uczelni w Lublinie państwo wydało ponad miliard zł. Uniwersytet dorobił się już własnej, pięknej dzielnicy, to samo dzieje się w tej chwili z Akademią Medyczną, budowę własnego kompleksu właśnie rozpoczęła Wyższa Szkoła Inżynierska, dorabia się stale Wyższa Szkoła Rolnicza.

Kilkanaście tysięcy studentów dodaje specjalnego kolorytu miastu, zwiększa jego dynamizm, naciska na różne sprężyny rozwoju. Ponad 200 samodzielnych i 1000 pomocniczych pracowników nauki to potężna armia ludzi, przyczyniających się w istotny sposób do rozwoju różnych dziedzin życia województwa nie tylko przez kształcenie kilkunastu tysięcy studentów, ale i przez bezpośrednią pracę naukową, popularyzatorską, inicjatywę i pomoc w rozwoju rolnictwa, przemysłu itd.

Dzisiaj aż się nie chce wierzyć, że w okresie międzywojennym w Lublinie nie mógł się utrzymać na dłuższą metę chociażby jeden teatr. Od wielu lat pracują trzy: dramatyczny, muzyczny oraz lalki i aktora, jest filharmonia, własna radiostacja, ośrodek telewizyjny, wiele rzeczywiście dobrze pracujących klubów, sala wystawowa plastyków. Dwie gazety codzienne, jeden dwutygodnik, jeden miesięcznik, kilka periodyków specjalistycznych. I własne wydawnictwo książkowe, obsługujące cztery województwa. Każdy powiat ma własny dom kultury, o przodującej roli placówki wojewódzkiej piszemy osobno. Słynny i naśladowany w całej Polsce eksperyment — szkoła ośrodkiem pracy kulturalno - oświatowej — narodził się na Lubelszczyźnie. Początkowy „eksperyment lubartowski" stał się powszechnym działaniem w kraju. Ponad 2 miliony tomów w bibliotekach powszechnych, 53 domy kultury, 25 teatrów poezji, 10 szkół artystycznych, ponad 30 społecznych ognisk artystycznych, około 3,5 tysiąca różnych placówek kulturalno-oświatowych — to dorobek, którego mimo wielu jeszcze braków nie potrzebujemy się wstydzić.

(d)

Rzeszów

NIE TYLKO ROPA

„DZIENNIK Rzeszowski" z 12 czerwca 1945 r. obwieścił: „Województwo rzeszowskie faktem dokonanym". Było to jednak stwierdzenie na wyrost, antycypujące sytuację, która miała się ukształtować dopiero w latach następnych. Wiadomo przecież, że samodzielny organizm nie rodzi się nagle, z chwilą wyznaczenia mu miejsca na ziemi, którą na dodatek wstrząsają konsekwencje dopiero co zakończonej wojny. Uciekł już, co prawda, z tych terenów okupant hitlerowski, niszcząc w pośpiechu, co popadło, pozostały jednak bandy nacjonalistów ukraińskich, które nie ustępowały mu w okrucieństwie i bezwzględności. Pozostała również uboga scheda lat przedwojennych, owe 40 proc. karłowatych gospodarstw o powierzchni do 2 ha, nadszarpnięta jeszcze w latach wojny.

Decyzja utworzenia województwa rzeszowskiego miała więc wówczas charakter raczej symboliczny, była wyrazem zamierzeń nowej władzy, odnosiła się głównie do tego, co zbudują tu ludzie w przyszłości. A oprócz gospodarki należało stworzyć coś może mniej wymiernego, lecz równie istotnego dla rozwoju regionu — tradycję kulturalną. Spojrzenie na aktualną sytuację Rzeszowszczyzny pozwoli zorientować się, czy cele te zostały osiągnięte.

Rzeszowskie po wyzwoleniu, poza nielicznymi obiektami dawnego COP, nie posiadało dużego przemysłu. Jego fundamenty zaczęto wznosić w r. 1950, tzn. w pierwszym okresie industrializacji kraju. Miniona pięciolatka 1961—1965 w poważnym stopniu ugruntowała te wszystkie pozytywne zmiany w strukturze ekonomicznej województwa, które na początku lat pięćdziesiątych zainicjowano.

Szczególnie wysoki wzrost odnotowano w przemyśle: w porównaniu z r. 1960 produkcja globalna wzrosła o 87,6 proc., a usługi przemysłowe dla ludności o 50 proc. W omawianym okresie oddano do eksploatacji szereg dużych zakładów przemysłowych, m. in. hutę szkła w Krośnie, fabrykę kwasu siarkowego i superfosfatu w Mielcu, zakłady silikatowe w Leżajsku i przetwórstwa owocowo-warzywnego w Jaśle, zakłady drzewne w Rzepedzi i prefabrykatów budowlanych w Stalowej Woli, elektrownię wodną w Myczkowcach oraz fabrykę płyt pilśniowych w Przemyślu; w trakcie budowy znajdują się m. in. takie obiekty, jak zakłady mięsne w Nisku, zakłady młynarskie i wytwórnia pasz w Jarosławiu, zakłady graficzne w Rzeszowie. Równolegle rozbudowano i zmodernizowano pozostałe fabryki oraz prowadzono badania geologiczno - poszukiwawcze siarki, ropy naftowej, gazu ziemnego i surowców mineralnych, mających zastosowanie w budownictwie.

Podobnie intensywny rozwój można zaobserwować w rolnictwie. Zdzisław Czaja, zastępca przewodniczącego Prezydium WRN w Rzeszowie, twierdzi:

Rozbudowa bazy przemysłowej pozwoliła na znaczny wzrost środków produkcji dla rolnictwa... Za pośrednictwem kółek rolniczych wprowadzono na wieś mechanizację... Z energii elektrycznej korzysta obecnie prawie 80 proc. zagród wiejskich... Odbiciem przeobrażeń w dziedzinie kultury rolnej jest systematyczny wzrost plonów. W zestawieniu dwóch pięciolatek 1956—1960 i 1961—1965 plony czterech podstawowych zbóż wzrosły średnio o 2 q z 1 ha, ziemniaków o 24 q z ha, rzepaku o 3 q z ha, buraków cukrowych o 70 q z ha. Również w dziedzinie hodowli nastąpił dalszy postęp.

Warto dodać, że powierzchnia upraw w stosunku do r. 1960 wzrosła o ok. 22 tys. ha, a pogłowie bydła zwiększyło się o 22,7 tys. sztuk, trzody chlewnej o 29,6 tys. sztuk.

Województwo, w którego skład wchodzi 21 powiatów i 3 miasta wydzielone, zajmuje 18658 km kwadr., z czego 65,3 proc. przypada na użytki rolne. Na tym terenie mieszka ok. 1700 tys. osób, w tym 74,9 proc. we wsiach. Ostatnia cyfra sugeruje zdecydowaną przewagę rolnictwa jako głównego źródła utrzymania ludności. W rzeczywistości aż 41 proc. mieszkańców pracuje poza rolnictwem. Jest to rezultatem rosnącego uprzemysłowienia Rzeszowszczyzny, chłonności ośrodków miejskich, takich jak: Rzeszów, Stalowa Wola, Tarnobrzeg i Mielec. O ile w r. 1946 miasta województwa zamieszkiwało 241 tys. osób, to w r. 1964 liczba ta zwiększyła się do 422 tysięcy. Proces urbanizacji nie nadąża jednak za tempem wzrostu zatrudnienia, co powoduje, że ok. 80 tys. ludzi dojeżdża codziennie do pracy.

Wszystkie te przemiany — w strukturze ludności i jej zatrudnieniu — są wynikiem poważnych nakładów inwestycyjnych, które w latach 1950—1965 wyniosły 51,1 mld zł.

Województwo rzeszowskie posiada obecnie poważny udział w gospodarce narodowej. Według analizy Wojewódzkiej Komisji Planowania Gospodarczego w Rzeszowie uwidacznia się to w kilku dziedzinach:

— w stałym zwiększaniu udziału przemysłu województwa w wartości produkcji globalnej kraju. O ile w roku 1949 udział ten wynosił 2 proc., to w r. 1964 już 3,9 proc. Podobną dynamikę wykazuje zatrudnienie w przemyśle;

— województwo było dotychczas prawie jedynym wydobywcą ropy naftowej w kraju, jak również posiadało większość rafinerii ropy naftowej;

— Rzeszowskie jest głównym producentem gazu (ponad 90 proc. wydobycia krajowego). Nowe bogate złoża gazu, odkryte w rejonie Lubaczowa, Jarosławia, Przemyśla, Przeworska i Łańcuta, mają znaczenie nie tylko dla rozwoju województwa, ale także rejonów krakowskiego, kieleckiego, warszawskiego i lubelskiego;

— nowa funkcja województwa w gospodarce narodowej kształtuje się w związku z powstaniem przemysłowego okręgu siarkowego w rejonie Tarnobrzega, bazującego na złożach siarki, zaliczanych do największych w świecie;

— region jest bardzo poważną bazą drewna dla przemysłu drzewnego i meblarskiego w kraju;

— w zakresie produkcji zwierzęcej województwo jest od szeregu lat poważnym eksporterem przetworów mięsnych, jaj i drobiu;

— równie duży udział posiada w eksporcie przetworów warzywnych, owocowych, runa leśnego, wyrobów z wikliny, środków transportu, wyrobów drzewnych.

Osiągnięcia gospodarcze Rzeszowszczyzny są więc niewątpliwe, a jej rola w całokształcie gospodarki krajowej dość ważna. Trzeba jednak powiedzieć otwarcie, że poziom życia gospodarczo - społecznego województwa odbiega w dalszym ciągu od średniego w Polsce. (Pomimo wysiłków władz i wielkiej ofiarności mieszkańców, którzy w jednej 5-latce potrafią realizować zobowiązania produkcyjne i czyny społeczne wartości miliarda zł). Wynika to ze względnego osłabienia tempa inwestowania. W latach 1950—1955 nakłady inwestycyjne stanowiły 4,5 proc. nakładów krajowych, a w 5-latce 1966—1970 spadły do 3,56 proc. Albo inaczej: projekt planu inwestycyjnego na bieżące pięciolecie przewiduje wzrost nakładów w stosunku do lat 1961—1965 o 13,4 proc., podczas gdy odpowiedni wskaźnik krajowy wynosi 40,6 proc.

Ukierunkowanie nakładów służy dalszemu rozwojowi przemysłu i rolnictwa. To, oczywiście, nie budzi wątpliwości. Niepokoi natomiast fakt, że podział taki „nie gwarantuje... zabezpieczenia niezbędnych i pilnych potrzeb społeczeństwa w zakresie gospodarki komunalnej, urządzeń kulturalno-socjalnych, handlu i budownictwa mieszkaniowego. Część tych potrzeb będzie mogła być zaspokojona w drodze realizacji czynów społecznych oraz poprzez wykorzystanie środków zgromadzonych na SFOS" — jak stwierdza jedna z analiz WKPG.

— *Tak, jesteśmy pozbawieni wystarczających inwestycji* — stwierdza wiceprzewodniczący WKPG w Rzeszowie mgr Roman Chrzanowski — *Wystarczy spojrzeć na mapę lokalizacji nowych obiektów, aby przekonać się o preferencji tradycyjnych ośrodków przemysłowych...*

— Może zależy to od inwestycji towarzyszących?

— *Zapewne, ale to tłumaczenie na krótką metę.*

Niedoinwestowanie województwa stwarza szereg trudnych do rozwiązania problemów. Dla orientacji warto kilka z nich wymienić: brak nowych miejsc pracy, trudności aktywizacji małych miast, brak środków na planowaną budowę dróg państwowych i lokalnych.

Te wszystkie bolączki razem wzięte nie mogą przecież zrównoważyć faktów składających się na dynamiczny rozwój Rzeszowszczyzny, nie potrafią przesłonić wielkich i małych codziennych dokonań, które posuwają życie naprzód. Poza cyframi wymienionymi na początku, które ilustrowały postęp gospodarczo - socjalny województwa, nie sposób nie wspomnieć o innych faktach obrazujących zakres zmian, jakie tu zaszły i zachodzą. Zwróćmy więc uwagę na Wyższą Szkołę Pedagogiczną i Wyższą Szkołę Inżynierską, obie niedawno otwarte i skupiające po 1000 studentów, na Rzeszowskie Spotkania Teatralne, Teatr im. Siemaszkowej, Teatr Lalki i Aktora „Kacperek", na Państwową Orkiestrę Symfoniczną, która często wyjeżdża na wieś z koncertami, na nowy Dom Sztuki — jeden z piękniejszych obiektów tego typu w kraju, a w końcu na 645 bibliotek, z których wiele pracuje znakomicie, na liczne muzea.

Odrębnym zagadnieniem, bardzo złożonym ze względu na przeprowadzane właśnie reformy strukturalne, jest szkolnictwo województwa. W 1673 szkołach podstawowych pobiera naukę 272200 uczniów, w 51 liceach ogólnokształcących — 21712, do 453 szkół zawodowych różnych typów uczęszcza 66156 młodzieży, w 6 zakładach kształcenia nauczycieli uczy się 2178 osób; poza tym działają szkoły dla pracujących oraz podstawowe szkoły specjalne.

Władze oświatowe kładą duży nacisk na rozwój szkół zawodowych, co wynika z zapotrzebowania regionu na fachowców ze specjalnością budownictwa, elektryfikacji, budowy dróg i różnych usług. Rozszerzając sieć szkół zawodowych starano się nie pominąć żadnego powiatu. W rezultacie tylko jeden powiat ustrzycki pozbawiony jest szkoły zawodowej, lecz budowę jej zaplanowano ok. r. 1970.

Nie przewiduje się natomiast zmian w sieci liceów ogólnokształcących, których celem jest przygotowanie ucznia do studiów wyższych lub szkół pomaturalnych. Wysiłki organizacyjne zmierzają w kierunku zapewnienia tym placówkom odpowiednich pracowni i laboratoriów.

Wspomniana reforma szkolna dotyczy zmian programowych, podręcznikowych i ma na celu osiągnięcie lepszych wyników nauczania, czyli nie różni się od założeń obowiązujących w całym kraju. Reforma ta oraz wszelkie inne metody i formy dydaktyczno - wychowawcze sprawdzane są najczęściej w szkołach wiodących. Cieszą się one znaczną popularnością, dość powiedzieć, że 64,6 proc. ogółu liceów nosi tę nazwę. Do przodujących należy Liceum Ogólnokształcące w Stalowej Woli, o którym pisze m. in. „Kwartalnik Rzeszowski" nr 1, że „uczestniczy w eksperymencie tzw. „szkół stowarzyszonych" UNESCO i realizuje określony program poprzez przedmioty nauczania we wszystkich klasach oraz łączność korespondencyjną ze szkołą średnią w Indii. Sprawność szkoły w roku 1964/65 wyniosła 92 proc.".

(K)

Nowy Rzeszów — Fot. Jerzy Jawczak

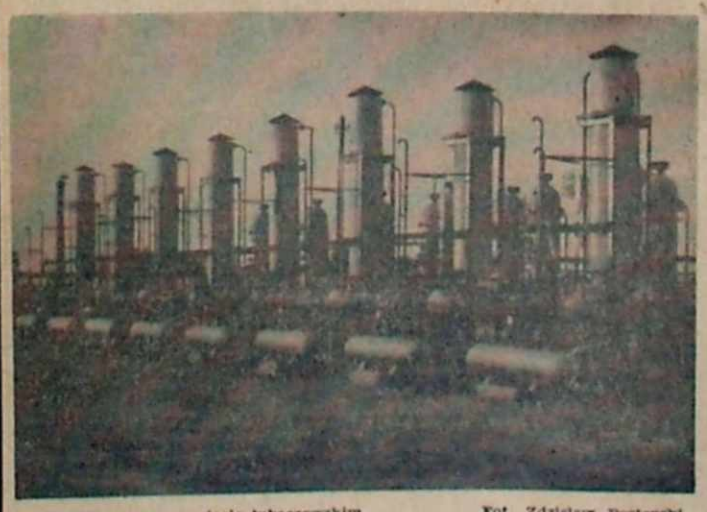

Kopalnia gazu w powiecie lubaczowskim — Fot. Zdzisław Postępski

Cement i ludzie

Dokładnie przed 19 laty rozpoczęto budowę wielkiej cementowni „Chełm". Razem z pobliskim a znacznie rozbudowanym „Rejowcem" daje ona 2 miliony ton cementu rocznie. W najbliższych tygodniach rozpocznie się budowa cementowni „Chełm II". Przemysł cementowy stał się potężnym, najbardziej aktywnym czynnikiem miastotwórczym — w okresie powojennym ludność Chełma podwoiła się.

Wśród budowniczych, a następnie pracowników cementowni znalazła się pokaźna grupa inteligencji technicznej. W najbliższych latach dzięki „Chełmowi II" grupa ta niemal podwoi się. Czy inteligencja techniczna wiązała się w życie miasta? Jeżeli tak — w jakim stopniu? Czy nastąpiła już pełna integracja tej „nowej" inteligencji ze „starą", osiadłą tu już częściowo w okresie przedwojennym? Czy cementownia jest tylko zakładem produkcyjnym, czy też ma wobec miasta inne obowiązki, zwłaszcza w dziedzinie kultury?

Pytania te stały się podstawą dyskusji, zorganizowanej przez „Kamenę" przy współudziale Wydziału Kultury Prezydium PRN w klubie NOT w Chełmie. Udział w dyskusji wzięli: BOGDAN LEMBRYCH — dziennikarz, BOGDAN MADEJ — literat i st. rachmistrz cementowni, ANDRZEJ PIWOWARCZYK — kierownik Biblioteki Miejskiej, STANISŁAW SKIBIŃSKI — prac. Muzeum Ziemi Chełmskiej, KAZIMIERZ E. STESZUK — poeta, nauczyciel szkoły rzemiosł budowlanych, ANDRZEJ TOMZA — główny inżynier cementowni, Czesław Twardzik — poeta, prezes Stowarzyszenia Przyjaciół Ziemi Chełmskiej, WIESŁAW ZAWADZKI — kierownik filii WUML, JERZY DOSTATNI — sekretarz redakcji „Kameny". Poniżej zamieszczamy streszczenie tej przeszło trzygodzinnej, bardzo ożywionej dyskusji. Na prośbę uczestników zachowujemy anonimowość wypowiedzi.

— Cieszymy się bardzo, że to właśnie „Kamena", dziecko Chełma...

— Trochę jednak wykolejone, bo bardzo się zmieniła w porównaniu z przedwojenną!

— ...podejmuje trudny, ale ważny temat, który nam tu nie daje spokoju. My, starzy chełmiacy, wprawdzie nie rękami, ale sercem budowaliśmy cementownię. Liczyliśmy jednak, że będzie więcej powodów do radości z jej istnienia. Mamy piękne efekty gospodarcze, ale nie dostrzegamy większego udziału cementowni w życiu miasta. Brak planowej, zamierzonej pracy cementowni z miastem. Dajemy zielone światło politechnizacji, ale w konsekwencji zanika romantyzm, liryka, a nawet w dużym stopniu humanizm. A tymczasem to właśnie nurt humanistyczny powinien być początkiem, wskazywać drogę politechnizacji. Każdy człowiek poza pracą powinien żyć także sprawami humanistyki. Brak nam wspólnych dyskusji, spotkań, łącznego działania. Tu są barokowe wieżyce, tam 8 kominów. Nie jest to łatwo powiązać, ale trzeba. Sukces literacki p. Madeja nagle okrasił to sąsiedztwo, ale to sukces osobisty a nie środowiska.

— Trzeba dokonać wyboru...

— Nie, trzeba ułożyć współżycie. My chcemy, aby nowa inteligencja techniczna nawiązała do naszej tradycji, włączyła się do życia miasta, a nie tworzyła odrębnego, odosobnionego środowiska. Zresztą bądźmy lojalni: inteligencji spod znaku Eskulapa czy Temidy też nie widać, ona również żyje w odosobnieniu.

— Czegoś tu nie dopowiedziano. Określmy wyraźnie: są „starzy" lekarze czy prawnicy z samochodami i willami, którzy nie chcą zadawać się z młodymi inżynierami, świecącymi pustką w kieszeni. Kiedy to się zatrze?

— Nie przesadzajmy. Gra tu chyba rolę różnica wieku, pochodzenia społecznego i geograficznego, część inteligencji technicznej to ludzie wędrowni, jest tu bardzo duża fluktuacja kadr. Gdy cementownia się budowała, spotykaliśmy się tylko od czasu do czasu na uroczystościach oficjalnych i koniec na tym. W cementowni jeszcze teraz co pół roku jest inny schemat organizacyjny, ludzie zmieniają się, nie czują się pewni, nie czują się w środowisku, myślą o zmianie miejsca pracy...

— Przesada, proszę pana, przesada...

— Wcale nie. Dopóki inteligencja cementowni nie ustabilizuje się, nie nawiążemy na stałe współpracy, nie staniemy się jednym środowiskiem. Są już ludzie ze sobą współpracujący, ale środowiska żyją jeszcze odrębnie.

— Zapominamy jednak, że cementownia dużo dała miastu. Chociażby wybudowanie ulicy, przy której siedzimy, tego budynku z klubem i biblioteką, jej pracownicy — nawet obojętnie, czy zupełnie bez stosowania środków administracyjnych — dali miastu pracę społeczną i przez to wciągali innych. Tak było np. przy budowie nowego domu kultury.

— Ludzie od agregatów pochodzą z bliskich wsi, nie zerwali ze wsią. Gdy tylko mają wolny czas nie biorą udziału w życiu miasta, ale jadą na wieś, pracują, doglądają. Mają przecież z tego konkretne korzyści ekonomiczne.

— Dom, w którym mieszkam, na 18 lokatorów posiada 14 telewizorów. To świadczy, że ci ludzie dużo czasu spędzają jednak w mieście. A swoją drogą, czy ktoś się doliczył, ilu kierowników z cementowni kontraktuje pomidory, ogórki czy inne uprawy? Dużo — a to dowodzi, że i kierownicy także są związani ze wsią a nie z miastem.

— Około 200 ludzi z cementowni chełmskiej i rejowieckiej chce wstąpić do technikum. Przeważnie młodzi. To dobry objaw. Chyba więc to najmłodsze obecnie pokolenie pracujących będzie jednak inne?

— „Chełm" ma co roku ponad milionowy fundusz zakładowy. Ile z tego przeznacza się na kulturę?

— To zależy, jak rozumiemy kulturę. W czasie budowy „Chełma I" członkinie zespołów, które tworzono dla celów reprezentacyjnych, domagały się pieniędzy, wycieczek lub innych korzyści materialnych — albo odmawiały występów.

— Prawda, ale kto do tego doprowadził?

— Ludzie odpowiedzialni za kulturę.

— Jak to rozumieć?

— Kierownictwo i rada zakładowa najpierw budowlanych, a potem cementowni. Chcieli się wykazać. Ludzi z zespołów trzymano na przeróżnych etatach, aby tylko zechcieli przychodzić na próby i występować.

— Ale winni jesteśmy i my, społeczni działacze kulturalni. Patrzyliśmy na to z boku i nic, chowaliśmy głowę w piasek. Ale z drugiej strony nawet względnie dobre zespoły przyciągają ludzi z miasta, zbliżają. Trudno powiedzieć, co było większe — strata czy zysk.

— Dlaczego tak się dzieje, że teraz prawie nic się nie dzieje? Chyba dlatego, że my w cementowni po zastosowaniu nowych wskaźników ekonomicznych jesteśmy biedni...

— To szokujące wyznanie!

— Ale prawdziwe. Nasze osiedle od samego początku jest odcięte od miasta. Wytworzyło się specyficzne getto. Fatalna komunikacja przyczyniła się jeszcze do tego, że nie tylko geograficznie wytworzyło się tam osobne środowisko. Zresztą nie przesadzajmy — 60 ludzi tworzy w cementowni tzw. inteligencję techniczną. Czy może ona silnie oddziaływać na miasto?

— Jednak może. A ponadto my wszyscy mówimy tu o inteligencji technicznej, a myślimy o całej inteligencji, pracującej w cementowni i zarządzie — ekonomicznej, finansowej, administracyjnej. Razem to już jest ok. 300 ludzi.

— Nie można łapać ludzi i na siłę robić im iniekcji kulturalnej. To nie przypadek, że mimo zaproszeń brak tu dzisiaj dyrektora Lubelskich Zakładów Przemysłu Cementowego (zresztą jest nowy i być może nie orientuje się w sprawie, ale szkoda, że nie słucha), że nie przyszli przedstawiciele komitetu zakładowego i rady zakładowej. To pokazuje, jaką realnie rangę przypisuje się kulturze w cementowni.

— A kto właściwie „robi" kulturę w Chełmie — jeżeli tak można powiedzieć? Działacze pracujący poza cementownią. Ludzie spoza silnego liczebnie środowiska lekarskiego czy adwokackiego. W dodatku toczą często beznadziejne boje z notablami miasta i powiatu, którzy widzą tylko sprawy produkcyjne.

— W cementowni brak zainteresowania kulturą. Za taką działalność uważa się często różne posiedzenia i zebrania, także wycieczki, zbyt często zakończone libacjami. Jest plastyk, który z różnych okazji robi dekoracje...

— Dla ścisłości: bierze za to pieniądze, ale nie dekoruje...

— Nie wiem. W każdym razie maluje, robi mu się nawet wystawę w PDK, ale rada zakładowa nie dała nawet złamanego grosza na farby, nie może znaleźć chociażby kąta na ustawienie sztalug. Jeden z pracowników, samouk-amator, zupełnie dobrze rzeźbił w kredzie. Ale gdy miał pojechać na seminarium do Lublina, aby zapoznać się z podstawowymi dla plastyka sprawami, zabrakło 60 zł na delegację. A gdy robi się konkurs recytatorski znajdują się setki na wino i ciastka — ale wtedy widać radę zakładową. Na spotkanie z literatem, który wyrósł w cementowni, w wyniku nacisku Związków Literatów Polskich wydano wprawdzie 500 zł, ale pewnie z bólem serca i z rady zakładowej nikt nie przyszedł. Inny plastyk, kolejarz, też miał wystawę w PDK. Postarano mu się o nagrodę z Ministerstwa Kultury, związek zawodowy tu na miejscu dołożył 2500 zł. Teraz nasz rzeźbiarz ma rzeźbę w nosie, a plastyk chyba długo nie wytrwa w swoim uporze malowania.

— W roku ub. rada zakładowa cementowni wydała ok. 72 tys. zł na tzw. obce imprezy kulturalne. Sprowadzono np. straszny zespół z Rzeszowa, inną sprawę odfajkowano zespołem cygańskim. Nikt z organizatorów nie przejmował się, że finansowano społecznymi pieniędzmi chałturę. A na premierze Teatru Ziemi Chełmskiej na 500 miejsc było zajętych tylko 50, rada zakładowa nie dała ani grosza na bilety, nawet nie propagowała przedstawienia.

— W cementowni miała powstać gazetka zakładowa. To przecież zysk nie tylko dla cementowni. Gazetka byłaby jakimś skromnym nawiązaniem do przeszłości, mogła być platformą dyskusji i potem chyba porozumienia między miastem a cementownią. Ale ta szansa została tu, w Chełmie, zaprzepaszczona. I moglibyśmy już debatować, co jeszcze trzeba zrobić, a nie jak teraz: to w ogóle trzeba zrobić.

— Mamy nowy, piękny PDK. Zlokalizowano go jakby na granicy dwóch przedmieść — nowego i starego miasta. Lokalizacja jest wciąż dyskusyjna. Ale nie byłoby źle, gdyby nie fakt, że po imprezach o godzinie 22 brak jest wszelkiej komunikacji, a dojście wszystkimi ulicami i ścieżkami bez jednej żarówki. Stąd pustki na widowni. A czy w cementowni poza p. Madejem było chociażby jedno spotkanie autorskie?

— Cementownia skutecznie się obroniła.

— Trzeba zrewidować przydatność różnych pseudokulturalników. Jeżeli już niektórzy muszą mieć synekury, dajmy je np. w związku hodowców drobnego inwentarza. Może nawet to nie ich wina, że otrzymali takie nominacje.

— Narzekamy, narzekamy, ale co dalej? Ogromna zasługa „Kameny", że zorganizowała to spotkanie. Znamy się wszyscy trochę ze słyszenia, ale po raz pierwszy siedzimy razem. Takie spotkania, już chyba pod egidą jakiegoś miejscowego czynnika, powinny teraz odbywać się częściej. Nasz nowy PDK też musi wyjść naprzeciw, a nie czekać.

Cementownia Chełm I

Fot. Andrzej Polakowski

— Chyba jednak zbyt dużo zarzucaliśmy radzie zakładowej. W zakładzie produkcyjnym to prawdziwy worek bez dna, do którego wrzuca się wszystko. Chociaż to prawda, że „pracownicy k-o" w cementowni nie potrafią być organizatorami i to jest podstawowy brak. Zresztą bywa i inaczej. Jeden z tzw. organizatorów ma pięć półetatów. Zarabia w sumie trzy razy więcej niż inżynier, a nigdzie niczego konkretnego nie może zrobić, bo czasu nie wystarcza.

— Cementownia nie dała na teatr, ale czy PDK zwrócił się o pomoc? Z wieczorami autorskimi trudno narzucać się, ale dlaczego np. Towarzystwo Miłośników Ziemi Chełmskiej nie zrobi wycieczek do cementowni? Niech miasto zobaczy naszą pracę, nasze warunki. To nas wzajemnie zbliży.

— Jest nas w cementowni duża grupa ludzi, którzy 3 lub nawet 5 dni w tygodniu muszą być w zakładzie po południu. Na czytanie książek czy inną pracę kulturalną mamy czas po godz. 20 lub od 5 do 6 rano. To prawda, że kontakty z miastem mamy okazyjne, „od ubawu do ubawu". Próbowałem na własną rękę zbliżyć się do kilku osób w mieście, ale potraktowano mnie jak ubogiego krewnego. Mam swoją ambicję i cofnąłem się.

— Boli nas drobny na pozór fakt. Dlaczego oficjalna nazwa brzmi Lubelskie, a nie Chełmskie Zakłady Przemysłu Cementowego? Ani cementowni, ani dyrekcji nigdy w Lublinie nie było i chyba nie będzie. Może to sprawa ambicjonalna, ale dla nas ważna. Przecież ona nadaje jakąś niezasłużoną rangę jednemu miastu, a odbiera drugiemu.

— Spróbujmy spojrzeć z boku na naszą dyskusję. Narzekań nie brakowało. Ale jednocześnie prawdą jest, że to cementownia pozwoliła miastu wystartować w nowoczesność, przynieść nowe osiedla mieszkaniowe, zwiększyć liczbę ludności o 10 tysięcy, zyskać asfalt na ulicach, kilometry chodników, rozbudować szpital, zbudować kilka budynków szkolnych. Ostatnio lubelska WSI wyraziła wstępnie zgodę na uruchomienie punktu konsultacyjnego, jeżeli zdołamy przez kilka lat zapewnić ok. 30 czy 40 kandydatów rocznie...

— Też prawda, ale to jest pośrednim wynikiem istnienia cementowni i środki na te cele szły poza nią, chociaż ona liczyła się przy podejmowaniu decyzji. Jednak cement, kuchnia i łóżko nie mogą wystarczyć człowiekowi. Kultura to nie maskotka do zabawy, gdy mamy wolny czas. Kultura to nie tylko przyjemność, ale często kłopot z przeżyciem w teatrze czy kinie. To formuje człowieka, pozwala się orientować w świecie, a więc jest konieczne. Ale kluczy do kultury nikt nie sprzedaje, trzeba je samemu znaleźć, trzeba chcieć je znaleźć.

— Siedzimy tu już trzy godziny, ledwie dotknęliśmy różnych zagadnień. Ale przez ten czas nikt nie zapukał do klubu. To też coś mówi. Czy nie moglibyśmy na początek zorganizować tu czegoś w rodzaju klubu dyskusyjnego? Pokłóćmy się o problemy, poznajmy się — to już duże osiągnięcia. Jednego wieczoru nie wymyślimy penicyliny na wszelkie dolegliwości.

— Pozwólcie jeszcze jeden kwiatek. Jeden z naszych głośnych ostatnio literatów złożył podanie o nieco większe mieszkanie, bo teraz nie ma nawet kąta na spokojne pisanie. A kierownik wydziału spraw lokalowych zupełnie na serio zapytał: a czy pan koniecznie musi pisać? No i rzeczywiście...

— Zgodziliśmy się wszyscy, że jednak są w Chełmie dwa środowiska, że brak między nimi współpracy. I chyba pierwszym środkiem zaradczym jest zbliżenie. Oczywiście nie od razu wciągniemy wszystkich. Wystarczy na początek 30 czy 40 rzeczywiście chętnych. Nasze dalsze dyskusje czy po prostu spotkania powinny odbywać się pod wspólnymi auspicjami Stowarzyszenia Miłośników Ziemi Chełmskiej i Powiatowego Domu Kultury. Już nie na tak szerokie, a wąskie, konkretne tematy. Najpierw musimy się dogadać między sobą, a potem zacząć wspólną pracę.

* * *

Tak w dużym skrócie wygląda stenogram z naszej dyskusji. Nie hamowaliśmy temperamentów, nie uciąłiśmy dygresji, nie lukrowaliśmy wypowiedzi. Może niektóre z obiektywnego punktu widzenia są przesadzone — ale jeżeli ludzie tak myślą i tak mówią to znak, że problem istnieje, że wart jest bliższego przyjrzenia się.

Sądzimy, że chociaż niezbyt uporządkowana, może dlatego że pierwsza, dyskusja ta może, a nawet powinna stać się zaczynem zmian, potrzebnych obu stronom. A jednocześnie potrzebnych nam wszystkim.

Notował **Jerzy Dostatni**

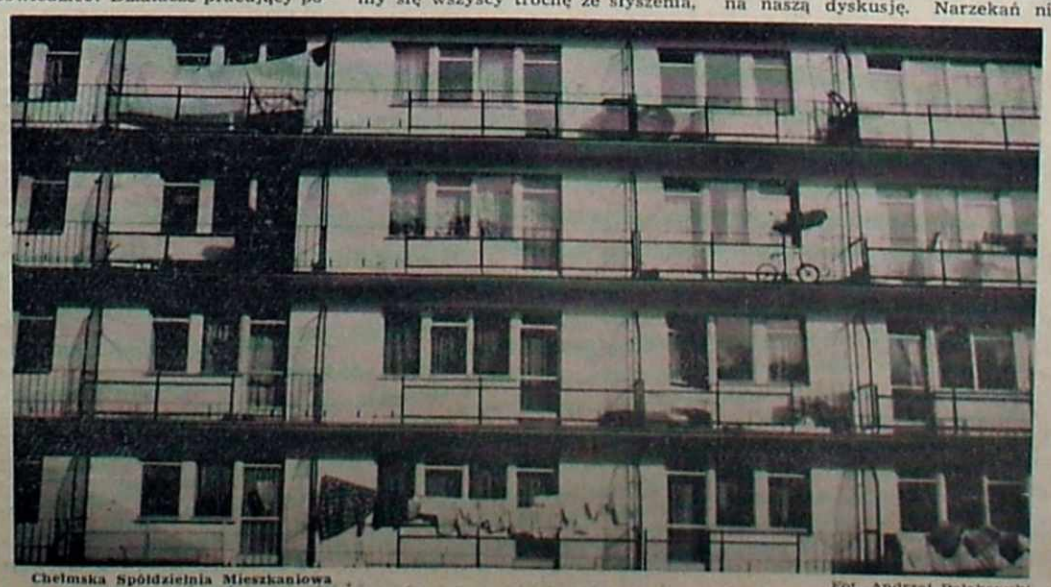

Chełmska Spółdzielnia Mieszkaniowa

Fot. Andrzej Polakowski

Podzielne przez trzy

IGNACY JANUSZ LIPCZYŃSKI

...13 marca poszliśmy całą szkołą na wycieczkę za miasto, do sosnowego lasu. W pobliżu tego lasu znajduje się chutor „Kotowski", gdzie mieszka Wasz przyjaciel, Iwan Iwanowicz Biabcew, który razem z Wami przebywał w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu. Odwiedziliśmy Iwana. Bardzo dużo opowiadał nam o pobycie w obozie, że śmierci, o wielkiej przyjaźni, jaka się zawiązała pomiędzy nim a Edwardem Ferencem, Wami i Waszym bratem Romanem, którego hitlerowcy zamordowali w Oranienburgu. Iwan opowiadał o tym, jak nieludzko znęcali się nad Wami SS-mani, jak Was bili i jak ciężko musieliście pracować, stale głodni, latem czy zimą w jednakowych, pasiastych łachmanach... Z głębokim wzruszeniem opuszczaliśmy dom Iwana. I zapadło postanowienie: napisać do Was i do Edwarda Ferenca...

Jeden z najmilszych listów, jakie w życiu otrzymałem, kończy się pionierskim pozdrowieniem, podpisami i adresem moich młodych przyjaciół: Wołgogradskaja obłast, gorod Uriupinsk, ul. Polewoja 1-a, szkoła nr 4, klasa 7 b.

W lipcu 1964 r. minęło 20 lat gdy żegnaliśmy się z Iwanem. My trzej jechaliśmy transportem do Oranienburga, a chory na malarię Iwan pozostawał w obozie szpitalnym Oświęcimia. Żegnaliśmy się z przyjacielem, który zawsze twierdził i w naszych warunkach dawał na to dowody, że *„każda rzecz, która się nadaje do jedzenia — brukiew, głąb kapuściany, czy zapleśniała skórka chleba znaleziona w ss-mańskim śmietniku — jest podzielna przez cztery"*.

Żegnać przyjaciela jest zawsze smutno, ale zostać oderwanym od kogoś, komu się nieraz życie zawdzięczało, z kim się nie rozstawało nawet na godzinę w ciągu kilku lat obozowej niedoli... A tu nagle trzeba się pożegnać bez uścisku dłoni, bo dzielą nas druty, naładowane prądem wysokiego napięcia.

Powiedzieliśmy sobie tylko: *„budź zdorow, do swidańia! Wsio rawno sukinsynam kaniec!"* Jadąc z transportem w kierunku rampy kolejowej zobaczyliśmy Iwana po raz ostatni: machał do nas ręką, śmiał się głośno, słał pod adresem wszystkich SS-manów swoje *„gariaczije priwietstwija"*.

Pozostało nas trzech. Przed samą rampą Edek znalazł kartofel, schował go do czapki, a w wagonie powiedział: *„Teraz każda rzecz jadalna jest podzielona przez trzy.*

Oranienburg — Klinkiernia. Mordercza praca przy wyładunku barek z cementem lub piaskiem. Zima, mróz do 30 stopni i więcej. Łachmany takie same jak w Oświęcimiu, głód znacznie większy, a prace jak na urągowisko w pobliżu piekarni: zapach pieczonego chleba ustokrotniał poczucie głodu.

Rok 1944 przybliżał koniec wojny. W Polsce już od kilku miesięcy panuje wolność... W lipcu, gdy opuszczaliśmy Oświęcim, w Chełmie został ogłoszony Manifest PKWN. Ale z Oranienburga do Polski bardzo daleko: w prostej linii do Warszawy ponad 600 km. A tempo powrotu powolne: 100 km na miesiąc, bo jeszcze sześć miesięcy musieliśmy czekać, aby zobaczyć stolicę.

Od grudnia zostało nas już dwóch: mój brat został zabrany do szpitala i tam wkrótce zamordowany.

Teraz każda „rzecz jadalna" była podzielna przez dwa...

Zbliżał się front. Niemcy tracili grunt pod nogami, ale instynkt mordowania nie słabł: organizują transporty w głąb Rzeszy. Jednym z ostatnich transportów kolejowych (następne wobec braku taboru były piesze) wyjeżdżamy z Edkiem do Mauthausen. Niewiele brakowało, aby Edek mógł powiedzieć, że *każda rzecz jadalna jest niepodzielna"*. Jemu zawdzięczam, że ciągle jeszcze „rzecz jadalna" była podzielna przez dwa. Nam obu pomógł Czech, Jaroslav Kucera, przyjaciel z Oświęcimia, który jeszcze w 1943 r. wyjechał do Mauthausen.

Skończyła się wojna. Wróciliśmy do kraju. Edek mieszka w Jarosławiu, ja stale przebywam w Krasnymstawie. Kilka lat temu udało nam się nawiązać kontakt z Iwanem i dziś pisujemy do siebie. We wrześniu ubiegłego roku Iwan opublikował w gazecie „Znamja" nasze zdjęcia i wspomnienia obozowe pt. *„Wozwraszczenije iz ada"*. Z tych wspomnień dowiedzieliśmy się o dalszych losach Iwana po naszym wyjeździe z Oświęcimia:

Front był już bardzo blisko. Armia Radziecka i Polska podchodziły pod Kraków. W Oświęcimiu wyraźnie słyszano odgłosy bitwy. Tymczasem Niemcy w pośpiechu wysyłali ostatnie transporty, burzyli krematoria, niszczyli wszelkie dowody zbrodni.

Grupę więźniów liczącą kilkuset Rosjan ss-mani wyprowadzili z obozu do pobliskiego lasu. W grupie był także Iwan. W lesie zaczęli strzelać do więźniów i w zamieszaniu, jakie się wytworzyło kilku z nich szczęśliwie zbiegło, wśród nich Iwan. Po wielogodzinnym błądzeniu w lesie, półprzytomni z głodu, przerażenia i zmęczenia, dotarli do wiejskiej zagrody i tam ukryli się w chlewie. W nocy front zbliżył się jeszcze bardziej, walka rozgorzała z nowym nasileniem. Rano przybiegł gospodarz, wołając aby wyszli z kryjówki. Nie wierzyli własnym oczom: przed nimi stali trzej żołnierze radzieccy. Ale wyzwoliciele również nie wierzyli, że mają przed sobą byłych więźniów Oświęcimia i postanowili ich rozstrzelać. W tej rozpaczliwej chwili udało się jednemu z niedawnych więźniów nakłonić żołnierzy do zaprowadzenia ich do komendanta pułku. Tam przeprowadzono wstępne dochodzenie i odesłano ich do Krakowa. W Krakowie nowe badania i wreszcie, po stwierdzeniu zgodności wytatuowanych numerów z ocalonymi w Oświęcimiu dokumentami, zwolniono Rosjan od wszelkich podejrzeń, umundurowano i odesłano na front.

Iwan uczestniczył w oswobodzeniu Wrocławia i tam został ranny. Potem znowu był na froncie i znowu kula trafiła. Długo przebywał w szpitalach, przechodził ciężkie operacje. Wojna pozostawiła mu trwałe kalectwo.

* * *

W dalszym ciągu „Wspomnień" Iwan cytuje listy, jakie otrzymał od Edwarda Ferenca i ode mnie, a kończy takimi słowami:

„...To są drogie dla mnie listy. Są one pisane krwią serc moich drogich przyjaciół... W lecie b. r. jeździłem do Polski i byłem gościem Ferenca i Lipczyńskiego. Byliśmy na terenie byłego obozu w Oświęcimiu, gdzie obecnie jest Muzeum. Wszystkie eksponaty tego Muzeum wołają do ludzi: bądźcie czujni! Nie dopuście aby się powtórzyła dżuma faszystowska! Walczcie o pokój!".

Dziś, kiedy wspominam Iwana, trudno mi powstrzymać się przed patetycznym być może, ale szczerym i serdecznym wyznaniem: kule niemieckie raniły Cię na naszej ziemi, w walkach o naszą ziemię, jesteśmy, Wania, Twoimi dłużnikami...

Jak hitlerowcy prześladowali ...

(Dokończenie ze str. 5)

rządził w dniu 18 grudnia 1945 r. protokół przesłuchania świadków w sprawie zniszczeń i profanacji dokonanych przez hitlerowców w parafii Konopnica pod Lublinem. 21 czerwca 1941 r., tuż przed napaścią na ZSRR, w Konopnicy zatrzymała się zmotoryzowana kolumna SS. Niemcy zajęli kościół i plebanię. Nabożeństwa nie odbywały się, nie wolno było odprawiać nawet żałobnych ceremonii pogrzebowych. W nawie głównej kościoła urządzono żołnierską sypialnię i umywalnię. SS-mani, rozebrani do kąpielówek, nakładali na siebie ornaty i inne stroje liturgiczne, obwieszali się różańcami i medalikami i ustawieni w szyk procesyjny tak chodzili z menażkami po posiłki. Na chórze, w organach urządzili sobie klozet. Zniszczyli wielki ołtarz, rozbili tabernakulum, a komunikanty rozdeptywali po całej podłodze. Posągowi Matki Boskiej w ołtarzu głównym powyrywano ręce, a twarz wysmarowano pastą do butów i osmalono. Niemcy zniszczyli krucyfiksy i pokradli wiele naczyń liturgicznych, bielizny kościelnej i innych przedmiotów.

„W dzień Bożego Ciała 1941 roku, w czasie głównego nabożeństwa, pod kościół zajechał sznur ciężarówek niemieckich z wojskiem i żandarmerią. Wywieźli 4 samochody mężczyzn. Większość z nich nigdy nie powróciła do domów" — wspomina proboszcz parafii Dziesiąta w Lublinie ks. prałat Ignacy Zyszkiewicz.

Ojciec mgr Albin Sroka z klasztoru franciszkanów w Kazimierzu nad Wisłą mówi mi: *„Nie ma u nas obecnie w klasztorze ani jednego zakonnika z tych, którzy przebywali tu w czasie wojny. W kronikach mamy ustalone jednak dokładnie, jakim prześladowaniom poddany był klasztor. Zimą 1939—40 r. wojska zajmowały cały budynek, pozostawiając zakonnikom zaledwie dwie cele. W marcu 1940 roku uwięziono jako zakładników miejscowych księży, m. in. naszego przełożonego ojca Felicjana Dykę. Zwolniono ich dopiero po dwóch tygodniach. 10 października 1942 roku gestapowcy rozkazali zakonnikom opuścić zupełnie klasztor. Urządzono tam biura i mieszkania gestapo. Piwnice zamieniono na więzienie dla Polaków i Żydów. Dopiero w roku 1944, pod wpływem działań partyzanckich, Niemcy uciekli. Klasztor zajęła policja kryminalna, ale i ją wystraszył zbliżający się front. Zakonnicy powrócili do swej zdewastowanej siedziby"*.

Ks. kanonik Franciszek Kapelski był w czasie okupacji prefektem w Szczębrzeszynie. Wspomina:

„Aresztowany przez gestapo i zwolniony po 5 miesiącach Rotundy i Zamku, po kilku dniach znów aresztowany, a potem znów zwolniony, zamieszkałem w Szczebrzeszynie, niepewny dalszego losu. Kiedy zaczęło się wysiedlanie Zamojszczyzny, zostawiano tylko rodziny pracowników cukrowni Klemensów i fabryki kalafonii. Mnie pozostawiono, bo brat, z którym mieszkałem, był zatrudniony w monopolu tytoniowym. Niemcy zabrali plebanię szczebrzeszyńską na przedszkole dla swych dzieci. Kościół zamknęli na klucz, a sprzęt liturgiczny wywieźli do Zamościa. We wrześniu 1943 roku rozpocząłem starania o otwarcie kościoła. Ostatecznie zezwolili, ale z różnymi ograniczeniami. Wiernych było jednak niewiele, gdyż wysiedlenie objęło 15 okolicznych wsi.

* * *

Wraz z pogarszaniem się sytuacji na froncie i rozwojem ruchu oporu Niemcy usiłowali dokonywać pewnych kroków propagandowych dla zjednania sobie ludności polskiej. Zwrócono m. in. pewną liczbę kościołów. Opinia polska wiedziała jednak, co o tym sądzić, zwłaszcza że jednocześnie z tymi posunięciami dokonywano innych masowych aktów eksterminacji, a jeszcze w lipcu 1944 roku Niemcy wysadzili w powietrze kaplicę w Łabuniach pod Zamościem. Księża z nadzieją nasłuchiwali coraz mocniejszego huku armat na Wschodzie.

W gorące dni końca lipca 1944 r. w kościołach lubelskich odprawiano nabożeństwa dziękczynne. Radosne „Te Deum laudamus" niosło się pod nawy. Nie biły dzwony, bo dzwony zostały zrabowane przez Niemców. Ale nareszcie po pięciu prawie latach można było — jak to pisano w „Wiadomościach diecezjalnych lubelskich", redagowanych przez ks. dr Golińskiego — swobodnie odprawiać nabożeństwa, modlić się, śpiewać „Serdeczna Matko" i „Boże coś Polskę"... Wyzwolenie uchroniło kościół katolicki w woj. lubelskim od dalszych strat.

Romuald Wiśniewski

Czarne anioły

WALDEMAR BABINICZ

WIERZCIE mi, że nigdy nie podsłuchiwałem cudzych rozmów. Nigdy. Z wyjątkiem jednego wypadku.

Odkąd słońce zaczęło przypiekać na dobre, oszałamiające zapachy jaśminu, bzu i ścinający z nóg, obezwładniający zapach piołunu odurzył i Baśkę i wszystkich bywalców naszego klubu, stało się jasne, że dłużej w tych naszych salkach gnieździć się nie jesteśmy w stanie. Uchwaliliśmy wynosić o zmierzchu stoliki do ogródka. Wietrzyk chłodzi czoła, płynąca w pobliżu Mierzawka pomrukuje jak zawsze gderliwie, a stary przyjaciel klon, którego od roku zdradzamy z młodziutką, lękliwie trzepocącą się brzózką, jest znowu pobłażliwy i, jak każdy dziadziuś, wyrozumiały na nasze niewinne igraszki.

Otóż odkąd spędzamy wieczory przy stolikach pod otwartym niebem i wybieramy sobie miejsca na poletka doświadczalne na księżycu, który strojąc miny płynie nad naszymi głowami, otóż odkąd zmieniła się całkowicie sceneria i nawet styl naszego życia w klubie, zjawiać się zaczęli przy naszych stołach zgoła obcy, mało znani w okolicy goście...

I oto przed kilkoma dniami wpadł mi w ucho dziwny, przyciszonym głosem prowadzony dialog.

Dwaj młodzi w białych furażerkach, jeden blondynek o wyłupiastych, niespokojnych oczach, drugi z przechyloną główką, spoglądający na swego kumpla z niekłamanym podziwem, wykrzykujący co chwila: „Chyba bujasz, kur de hem!". Ten właśnie okrzyk przykuł moją uwagę. Nigdy nie zdarzyło mi się słyszeć takiego przekleństwa. Bo chyba nie można tych trzech słów nazwać zawołaniem bojowym, albo okrzykiem zachwytu.

— W areszcie — tłumaczy blondynek — jest inaczej niż w więzieniu. W areszcie muszą dbać o człowieka. Bo niech mu by włos spadł z głowy, to, brachu, raban podnieśliby na cały kraj. W ogóle, jak ci wlepią miesiąc czy dwa aresztu, ukłoń się grzecznie sądowi i w krzaczki. Jeść dadzą, dolewkę też, wyspanie nie najgorsze, kumpli też ma się światowych. Trzeba więcej? Tylko że zabierają każdy sznurek, nawet gumkę ze slipów. Wsio.

— Kur de hem!

— Jak Bozię kocham! Więc pakują mnie, uważasz, do aresztu, wchodzę ci spokojnie i kogo ja nie widzę? Chrzestny! Wyściskaliśmy się, wycałowali. — Za co oni chrzestnego? — pytam. — Tylko ręką machnął. — Dwa miesiące — powiada — przelecą w try miga. — No i żyło się nam w rodzinie nawet nieźle. Ale, nudy, bracie, na pudy. Tyle tylko, że chrzestny oblatany, nie dał sobie wszystkiego zabrać. Pasek przychował. I od tego paska, uważasz, wszystko się zaczęło. Powiada chrzestny: — Powieś się, Heniuś.

— Kur de hem!

— Głupiś, przecież na niby, na minutę-dwie, nie na prawdę. Chrzestny chciał, abym zobaczył, co się na tamtym świecie dzieje. Alem nie głupi, chociaż chrzestny przysięgał, że jak tylko mi jęzor wywali na brodę, zaraz rozluźni pasek. Alem nie chciał. — Niech chrzestny sam się wiesza — powiadam. I co powiesz? Powiesił się. Przysięgłem, że jak tylko zobaczę, iż mu oczy mgłą zachodzą, obetnę pasek. Dwie minuty wisiał.

— Kur de hem! I widział co?

— E, nic takiego. Ogień się palił dokolusieńka, nic więcej. Jak to w piekle.

— Kur de hem! A mój kumpel też się wieszał, ale ten to ci widział!

Blondynek krzywi się. Był przekonany, że olśni kumpla, tymczasem tamten też okazuje się ma nie waskie doświadczenia. A może po prostu naśladuje w sposób najbardziej nikczemny? Zadaje jednak pytanie:

— Widział coś?

— Trzy białe anioły — pada obojętna odpowiedź. — najfajniejszy był czwarty: różowy, śliczniusi, pachniało od niego tak, że kumpel sam się ocknął i spadł z klamki. Mówię ci.

— Na klamce się powiesił?

— Na klamce w chałupie.

— Nie bujasz? Jakoś tak samo, jak mój chrzestny.

— Idź-że, idź-że, u nas taka zabawa już od roku odchodzi: wieszamy się na minutkę i każdy pod przysięgą musi potem opowiadać, co na tamtym świecie widział.

Zainteresowanie moje jest w tej chwili tak wielkie, że zapominam o środkach ostrożności, poruszam się niecierpliwie, krzesło skrzypi, dwaj przyjaciele patrzą podejrzliwie w moją stronę, odsuwają się i kontynuują dialog tak cicho, że ani mowy o podsłuchaniu.

Rozglądam się dokoła: jak na złość nie ma dziś ani jednego z mojej paczki. Podejmuję decyzję, biorę kawę, podchodzę do chłopców pochłoniętych rozmową.

— Panowie pozwolą? — I nie czekając na odpowiedź przysuwam sobie fotelik.

— Dickens też opisuje podobną historię — mówię naturalnym tonem, jak gdybym uczestniczył w ich rozmowie — też jeden facet chwalił się, że widział, co się dzieje na tamtym świecie, ale go zaraz zdemaskowali. Był to znany tchórz i blagier.

Blondynek o wyłupiastych oczach przeszywa mnie unicestwiającym spojrzeniem, drugi natomiast rozgląda się ukradkiem po ogródku i pyta cicho:

— Będzie pan skarżył?

— Cóż znowu? Sam mogę opowiedzieć historyjki mrożące krew w żyłach. — Przez chwilę w oku blondynka błyska zainteresowanie, ale gaśnie szybko, wargi chłopca poruszają się nieznacznie i nagle pada zdumiewające wyznanie:

— Byłem bliski obłędu, panie. Z tego się wszystko zaczęło.

Nie śmiem się poruszyć. Czekam na dalszy ciąg, który nie przychodzi. Udaję więc, że się przysłuchuję żabim popisom, które rzeczywiście urządziły sobie dziś koncert na kilka głosów. Liście klonu też szeleszczą inaczej niż zwykle. Może mi się zresztą tak wydaje.

— Zjemy po ciastku? — proponuję ostrożnie.

Obaj potrząsają przecząco głowami.

Ten z przekrzywioną główką prosi:

— Pan opowie o tamtym facecie z książki. Bardzo straszne?

— Po co? — blondynek uderza dłonią w stół. — Ja sam umiem opowiadać, że ci strach będzie do domu wracać.

— Długo kolega siedział? — ryzykuję pytanie.

— Miesiąc. — I dodaje sentencjonalnie zasłyszane nie raz słowa: — Więzienia też są dla ludzi. Ale ja byłem skazany na areszt. Za rozróbę. Co?

To „co" brzmi prowokująco. Nie podoba ci się? Może sobie pójdziesz raz w pioruny, może każesz tej wystrojonej, fertycznej gosposi wylać mnie za drzwi, z ogródka? Proszę bardzo.

Czeka długo na moją reakcję. A ja nic, słucham żabiego koncertu.

— Z cmentarza wracałem. Chodzę tam co wieczór od zeszłego roku. Dwie siostrzyczki pochowałem. Bliźniaki. Zaczadziały i nie odratowały się. Takich fajnych dziewczynek nie było i nie będzie. Co tam zresztą będę każdemu gadał! W jednej mogiłce leżą. Przyrzekłem sobie, że do końca życia będę chodził na ich grób. Co tam!... Moja sprawa. I jak wracałem przez podwórze Migasów, bo było bliżej, ale nie wiedziałem, że u nich wesele i kawalerka powychodziła przed chałupę, żeby trochę po tańcu, po wódce ochłonąć — zobaczyli mnie i dalej zgrywać, że sobie na cmentarzu córkę grabarza przygruchałem, tę kosooką i że teść wyprawi wesele huczne, nikt takiego w okolicy mieć nie będzie: tysiąc gości weselnych, chłopy, szlachta, księża, babki do wyboru do koloru, a wszystko tanio, bo przecie wiadomo, że umarlaków częstować nie trzeba.

— Kur de hem! — zaklął tym razem na całe gardło młodzieniec z krzywą główką i coś jeszcze do tego dodał po cichu.

— W sądzie się okazało, że miałem sztachetę w rękach, wszyscy świadkowie tak zeznali. Pewnie miałem, nie pamiętam, zamroczyło mnie. Rozumie? Przez te mogiłki, przez te babki...

— Nie opowiadał kolega sądowi o — zawahałem się — no, o tym cmentarzu?

— Głupstwa pan plecie. Toż to bluźnierstwo. I tak spokoju nie mam, ciągle chciałbym wiedzieć, czy się na mnie siostrzyczki nie gniewają. Są w prawie. I dlatego — spuścił głowę — dlatego chodzi za mną ta sprawa, rozumie pan? Żeby na tamten świat się wybrać, ale mi szkoda tego — ostrożnie, delikatnie odwrócił głowę w stronę rzeki — więc próbuję na chwilkę chociaż...

Zamilkliśmy. Rechotanie żab też jakby nacichło. Na wygwieżdżonym niebie kłębiły się obłoki.

— Daleko mieszkacie?

Wymienili nazwę miejscowości. Będzie dobrych osiem kilometrów. Zdziwiłem się. — Chce się wam tutaj chodzić? Odpowiedzieli pytaniem, prawie równocześnie:

— Może tu znajdziemy innych ludzi? W mojej wsi — dodał blondynek — wszyscy na nas popatrują złym okiem: chuligani. Na całe życie już tak ochrzcili: chuligani...

Poszeptałem z Basią. Zaprosiła ich uroczyście, jak jakich ważnych, dygając:

— Przychodźcie nawet codziennie. W naszym klubie jak w domu. Przekonacie się sami.

Czy przyjdą? Może...

NASI W STOLICY

WIESŁAW MICHNIKOWSKI

RZECZ zadziwiająca; dopiero drobiazgowe badanie życiorysów naszych mistrzów sceny pozwala sobie wyrobić pogląd, jak wielu z nich miało coś wspólnego z Lublinem, Rzeszowem, Białymstokiem, Kielcami. Albo się urodzili i wychowali w którymś z tych miast, albo zdobywali w nich ostrogi aktorskiego rycerstwa, albo występowali przez wiele lat na lubelskich, kieleckich, rzeszowskich czy białostockich scenach. Znaleźli się, co prawda w stolicy i w niej osiedlili, ale wynika to chyba z tego, iż w tym środowisku przeważają tendencje dośrodkowe, a nie odśrodkowe.

Wiesław Michnikowski jest rodowitym warszawiakiem, bez Lublina jednakże nie byłby prawdopodobnie aktorem. A jeśliby nim był, to nie takim dobrym. Wiesława Michnikowskiego prezentować nie trzeba. Każdy, kto ma telewizor, przepada za Kabaretem Starszych Panów, a nie było ani jednego spektaklu (poza jednym, jedynym wyjątkiem) bez Michnikowskiego. Kto nie ma telewizora a odwiedza Warszawę, nie ominie najlepszego teatru stołecznego, czyli Współczesnego. A we Współczesnym gra Michnikowski. Kto nie ma telewizora, nie odwiedza Warszawy, chodzi od kina. A w kinie widział Michnikowskiego. Kto wreszcie nie ma telewizora, nie odwiedza Warszawy i nie chodzi do kina, ma radio. I słucha Michnikowskiego. Kto zaś nie ma telewizora, nie odwiedza Warszawy, nie chodzi do kina i nie ma radia, Michnikowskiego może nie znać. Na to już nic nie poradzę.

* * *

Zaczęło się to przed wojną. Mały Wiesio chodził do szkoły na piechotę (aby nie wydawać na tramwaj), pieniądze, ofiarowane mu na łakocie chował do pończochy, aż uciułał złotych dziesięć. Za tę fortunę lekkomyślny młokos kupił tak zwany werk, czyli mechanizm. Nie da się ukryć, iż werk nabył na Kiercelaku. Następnie wykręcił żarówkę z lampy („przepaliła się" skłamał bezczelnie ojcu), wybłagał gdzieś obiektyw i po kilku tygodniach zmontował aparat filmowy. Z filmami nie było kłopotów, albowiem kupowało się je na wagę. Rozpoczęły się projekcje. Mankamenty dźwiękowe uzupełniał muzykalny kolega na pianinie, a w braku tegoż (kolegi, nie pianina) — gramofon. W tym okresie Michnikowski miał do wyboru dwie drogi: aktora i inżyniera. Samodzielne skonstruowanie aparatu filmowego było przecież przedsięwzięciem natury technicznej.

Czynność konstruktorska była jednak tylko pochodną. Wiesio nie poprzestawał bowiem na filmach domowych, lecz co niedziela chodził do kina prawdziwego. Wchodził do przybytku X Muzy o godzinie 10 rano, wychodził zaś o 8 wieczorem. W tych odległych czasach można było „za jednym biletem" przesiedzieć wszystkie seanse. W sobie tylko wiadomy sposób nawiązał przyjaźń z aktorem teatru Letniego. Aż dziw, że stateczny koryfeusz sceny chiał się przyjaźnić ze szczeniakiem. Przyjaźń wydała jednakże owoce. Dzięki niej Wiesio zakradał się na próby. Utkwiły mu w pamięci próby „Podwójnej buchalterii" w reżyserii Warneckiego.. Prawdopodobnie dlatego, iż sztuka ta nie była z pewnością przeznaczona dla młodych uszu, a tym bardziej dla nieletnich oczu.

— Do dzisiejszego dnia — wspomina Michnikowski, ćmiąc papierosa i popijając kawę w lokalu Stowarzyszenia Dziennikarzy, dokąd go nie bez trudu zwabiłem — staram się nie opuścić w telewizji żadnego polskiego filmu archiwalnego. Oglądam je ze wzruszeniem jako wspomnienia młodości.

— Czy miał pan jakichś ulubionych aktorów?

— Oczywiście, Dymszę, Znicza, Orwida, Fertnera. Z tym ostatnim grałem zresztą w sztuce „Ostrożnie, świeżo malowane".

— A wierszyki okolicznościowe podczas akademii szkolnych też pan deklamował?

— Deklamowałem.

Ponadto urządzał Michnikowski w domu rewietki, łącząc projekcje filmów na swoim aparacie z występami artystycznymi. Jak przyjmowali je domownicy, niestety nie dowiedziałem się.

Młodzieńczy flirt z Melpomeną zakończył się trwałym z nią związkiem w Lublinie. Michnikowski zjawił się w tym słynnym grodzie w marcu 1945 roku, a więc jeszcze wówczas, gdy — jak się to mawia — grzmiały działa i grzechotały karabiny maszynowe. Służył ojczyźnie nie na polu bitewnym, lecz w Domu Żołnierza. Tam go też ujrzał Karol Borowski i bez większego trudu wciągnął w teatralną pułapkę. Grał więc szeregowy Michnikowski w teatrze miejskim w sztuce znanej francuskiej spółki dramaturgicznej Cavailleta i Flersa pt. „Powrót z wojny". Szeregowy Michnikowski grał porucznika marynarki, z czego nie wyciągnięto żadnych konsekwencji służbowych. Po pożegnaniu z bronią (a raczej z mundurem) Michnikowski uczęszczał do Studjum Dramatycznego i zdał przepisowe egzaminy.

— W owym czasie nie było miejsca na fochy czy grymasy. Co miesiąc premiera. I najróżniejsze role: od strasznie tragicznych do strasznie śmiesznych. Co wspominam najmilej? „Wesele Figara" — grałem rolę tytułową, Strzałkę w „Skąpcu" Moliera. Najlepiej czułem się w komedii klasycznej. Zdarzało się i tak, że w jednej i tej samej sztuce grałem dwie różne role. W „Marii Stuart", na przykład, grałem Nicka, w niedługi czas później w tej samej sztuce, tylko wystawianej nie w Lublinie, lecz w Warszawie, grałem Pazia.

— Jak to w Warszawie?

— W 1948 roku Maria Gorczyńska ściągnęła mnie do Warszawy, do teatru przy Mokotowskiej. Grałem tam tylko przez jeden sezon i wróciłem do Lublina. W tym czasie, za dyrekcji Chmielarczyka, były w Lublinie połączone sceny operetki i teatru dramatycznego. Nic więc dziwnego, iż raz występowałem w hulaszczej operetce, a drugi raz w ponurej tragedii. Wyszło mi to chyba jednak na dobre.

Tak było przez dziewięć lat z przerwą na jeden sezon. W roku 1954 Michnikowski przenosi się na stałe do stolicy. Zaczyna znów od początku (takie Zaczynanie Znów Od Początku będzie się w jego życiu kilkakrotnie powtarzać). Występuje w teatrze Młodej Warszawy. Grał wówczas między innymi Jefimczyka w „Młodości ojców", Gorbatowa, Tootsa w „Dombey i syn" Dickensa, młodego Mickiewicza w „Balladach i romansach" Maliszewskiego. Z tych lat ze szczególnym wzruszeniem wspomina swoją rolę (Julka) w „Sprawiedliwych ludziach" Brandysa. Była to bowiem ostatnia sztuka, w której grał Zelwerowicz.

W rok później następuje pierwszy kontakt z kabaretem. Temu rodzajowi sztuki scenicznej (lubo, jak mawiali nasi dziadowie, nieco podkasanej) pozostał wierny po dzień dzisiejszy. Pierwszy kabaret, do którego trafił Michnikowski, nazywał się „Iluzjon" i występował w kawiarni „Nowy Świat" (tam, gdzie obecnie występuje „Dudek"). Grali w nim: Drapińska, Śmiałowski, Sojecka, Niewinowski i Michnikowski. Ten ostatni wsławił się — słyną później — parodią filmu cowboyskiego. W niedługi czas potem trafił, poprzez Karola Szpalskiego, do „Wagabundy". Założyciele kabaretu nie bez kozery nadali mu taką właśnie nazwę. „Wagabunda" włóczyła się po świecie. Pierwszą podróż odbyła do Czechosłowacji, co w owym okresie równało się dzisiejszej podróży do Japonii. W dwa lata później pojechał Michnikowski wraz z zespołem do Izraela (na wiosnę) oraz do Stanów Zjednoczonych i Kanady (na jesień). W tym czasie miał tylko jedno krótkie intermezzo. Zaangażował się do Komedii i wystąpił w musicalu „Jim i Jill". Był to pierwszy i ostatni występ Michnikowskiego w teatrze żoliborskim.

Praca w „Wagabundzie" zdawała się usłana różami. Zagraniczne wojaże, dobre zarobki, atrakcyjny repertuar, popularność. A jednak Michnikowski rzucił to wszystko, aby... znów zaczynać od nowa. W 1958 roku przeszedł do Współczesnego. Tam nie liczyły się kabaretowe laury, popularność, zagraniczny szlif. Tam trzeba było terminować od początku. Łącznie z najniższą gażą i epizodycznymi rolami. Pierwszą rolą był właśnie epizod w „Operze za trzy grosze".

— Mimo licznych pokus — Michnikowski z wyraźnym niesmakiem cedzi zimną już i nie najlepszą kawę — zostałem. Czasami zdawało mi się, że rzucę to wszystko, i wrócę na kabaretowe łono. Zawsze mnie jednak coś powstrzymywało.

— A co takiego?

— Przekonanie, że prawdziwe aktorstwo jest w teatrze. Przede wszystkim w teatrze.

* * *

Po epizodach przyszły role. Subiekta w w „Pośredniczce matrymonialnej", Dolfita w „Karierze Artura Ui", w „Biedermanie i podpalaczach", w „Dożywociu", w „Zabawie" i "Czarownej nocy", tytułowa rola w „Historii fryzjera Vasco" Sheade'a. Były wojaże zagraniczne. Okazało się, iż nie tylko „Wagabunda" jest globtrotterem. Wyjeżdżał Michnikowski wraz ze Współczesnym (czy raczej Współczesny z Michnikowskim) do Anglii, do Bułgarii, do Jugosławii.

Obecnie gra Michnikowski główną rolę (Artura) w „Tangu" Mrożka. „Tango" jest zresztą fenomenem. Od wielu, wielu miesięcy idzie kompletami. Ba, nie sposób dostać nań biletu. Zresztą idzie kompletami w Düsseldorfie i w Londynie. Sztuka, która robi światową karierę. Recenzje z gry Michnikowskiego w „Tangu" były entuzjastyczne. Ja również uważam tę rolę za wspaniałą kreację. Michnikowski nie jest jednak w niej z siebie zadowolony, co korzystnie świadczy o jego ambicjach. W najbliższej przyszłości zagra w sztuce Murraya Schisgala „Sie kochamy".

Czy pamiętacie Kowalewskiego z „Gangsterów i filantropów"? Właśnie tego starszego pana, który chodził z alkoholomierzem po zakładach zbiorowego żywienia i nieźle sobie żył, ciułając z poświęceniem (nie znosił wódki!) pokaźny mająteczek. Tym Kowalskim był Michnikowski. Niebawem ujrzycie Michnikowskiego w filmie Różewicza „Niebo i piekło". Grać będzie hobbystę, mającego fioła na punkcie samochodów. Dla zaspokojenia swego hobby dusi własną ciotunię.

Michnikowski grał dotychczas w dwunastu filmach. Debiutował w „Pierwszym starcie", najwięcej satysfakcji dali mu „Gangsterzy i filantropii".

Z telewizją zbratał się u jej zarania. Był speakerem (dzisiaj ta funkcja zwie się: prezenter) jeszcze w doświadczalnym studio przy ul. Ratuszowej. Grał w wielu sztukach (kto by je zliczył po dziesięciu latach!) i nawet w dwóch „Kobrach". Należy do stałego zespołu Kabaretu Starszych Panów. Przepada za tym kabaretem, za jego atmosferą, za humorem, który reprezentują dwaj starsi panowie. Najbardziej podobał mu się „Smuteczek", w którym po raz pierwszy zaśpiewał swój szlagier „Addio pomidory".

Można go usłyszeć bardzo często w radiu, aktualnie nagrywa cykl czytanek dla młodzieży pod zachęcającym tytułem „Kapitan Torñado".

— Może coś z życia osobistego? Czytelnicy to bardzo lubią. Czy pańska żona jest aktorką?

— Niech Bóg broni! Jest historykiem sztuki.

— Ma pan dzieci?

Wiesław Michnikowski jako Artur w „Tangu" Mrożka

— Dwóch synków. Marcin ma osiem lat, Piotr pięć i pół.

— Czy któryś z nich ma zacięcie aktorskie?

— Ze starszym nagrywam od czasu do czasu różne audycje na magnetofonie. Był kiedyś na „Androklesie i lwie". Bardzo mu się podobał.

— Androkles?

— Nie, lew.

— Czy podoba się pan synom jako aktor?

— Wątpię. Marcin widział mnie kiedyś w parodii filmu cowboyskiego (było to telewizyjne powtórzenie). Po moim powrocie do domu powiedział z niesmakiem: „Dlaczego tatuś tak się wygłupiał?" Wydaje mi się jednak, że dotknął go raczej fakt, iż wyśmiewałem ten gatunek filmu.

— Co pan chętnie czyta?

— Wstyd mi powiedzieć.

— Może jednak?

— Makuszyńskiego.

— Ja też. Czy miał pan w ostatnim okresie jakieś przykre wydarzenia?

— Owszem, dwa. Ukradziono mi sprzed domu mojego „Wartburga" i doszczętnie rozbito. Musiałem go sprzedać na złom. W niedługi czas potem skręciłem w „Tangu" nogę i nie grałem przez miesiąc.

— Nieszczęścia idą parami. Czy występuje pan teraz w jakimś kabarecie?

— W „Dudku", w kawiarni „Nowy Świat".

— Zmienił pan kabaret, nie zmienił pan kawiarni.

Przy sąsiednim stoliku rozbawione towarzystwo poznało Michnikowskiego. Salwujemy się ucieczką. Wzbudza to we mnie coś na kształt zawiści. Mnie jakoś nie zmuszano w ten sposób do ucieczek.

Krzysztof Janowicz

Aktorskie gody

TAK się już na naszych scenach składa, że z okazji aktorskich jubileuszów wystawia się dosyć często „Grube ryby" Bałuckiego. Tak było i tym razem, gdy na scenie kieleckiej 60-lecie swojej pracy aktorskiej obchodził Edmund Karasiński. Niewiarygodna jest żywotność tego aktora, który niemal jednocześnie obchodził 81 rocznicę urodzin. Karasiński z niezwykłą Vis comica kreuje Unufrego Ciaputkiewicza. Bez przesady można powiedzieć, że bryluje na scenie, kieruje akcją i ludźmi. Ba — nawet tańczy walca. A trzeba zobaczyć, jak to robi — z jaką płynnością, ochotą i umiejętnością.

Dostojny Jubilat — bo takiego chyba trzeba dziś użyć określenia — zaczął kariere sceniczną w Lublinie za dyrekcji Myszkowskiego. I to w sposób raczej niezwykły: partia Stolnika w operze „Halka"! Potem była partia Jontka — bo młody Edmund, „odkryty" przez prof. Aleksandrowicza, dysponował niezwykle rzadką skalą głosu: bas-tenor. Były potem plany dalszej nauki w Mediolanie ale tak się złożyło, że niestety, plany nie mogły być zrealizowane. Występował więc w operetkach, wodewilach i komediach angażowany do Lwowa, Krakowa, Warszawy i Katowic. Do licznej grupy przyjaciół we Lwowie zaliczali się m.in. Kornel Makuszyński, Karol Adwentowicz, Roman Żelazowski. — Żyło się wtedy szumnie i hucznie — wzdycha Krasiński, gdy siedzimy nad starymi, albumami, afiszami i recenzjami w jego pokoju, mieszczącym się w gmachu kieleckiego teatru. — Młodość miała swoje prawa, ale jednocześnie pracowało się ciężko, dzisiejsza młodzież aktorska nawet nie ma pojęcia jak.

Doliczyliśmy się ponad stu operetek, w których występował dzisiejszy Jubilat. Była współpraca z Ludwikiem Sempolińskim, partnerowanie Korolewicz-Waydowej, występy z Adamem Didurem, lżejszy repertuar z niezapomnianą Messalką, przyjaźń ze Zdzisławem Górzyńskim i Adamem Grzymałą-Siedleckim.

Wędrował więc aktor po różnych scenach, ale zawsze wołał na dłużej zatrzymać się w jakimś mieście. Wzajemne poznanie się z publicznością i obopólna sympatia to uczucia, których nie jest łatwo się wyrzec. Na recenzje nie narzekał nigdy, gdyż wszędzie doceniano i jego wysokie umiejętności i pracę.

Przeglądamy sterty starych wycinków. Ze zdjęć patrzy coraz to inna twarz młodego Karasińskiego. W niektórych charakteryzacjach do złudzenia przypomina słynnego komika amerykańskiego Buster Keatona. Oto co pisał tuż po pierwszej wojnie światowej „Kuryer Krakowski":

„Ulubiony komik krakowskiej Operetki, to Edmund Karasiński. Jego świetne kreacje w „Amorze na śniegu", „Baronie Kimlu", „Apaszach", „Palestrancie" i „Królowej Montmartru" dają wyobrażenie o wszechstronności talentu. Jedną jeszcze zaletą, którą posiada nasz sympatyczny komik, to piękny głos, który z powodzeniem użytkuje i w operze".

Operetkę uważa Karasiński do dzisiaj za najtrudniejszy kawałek aktorskiego chleba. Trzeba tu bowiem wykazać się nie tylko sztuką aktorską, ale i śpiewem i tańcem, tutaj łatwo można poznać, czy masz talent czy jesteś z drewna. Bo przecież kiedyś w operetkach grali niemal wszyscy wielcy aktorzy — wystarczy przypomnieć Aleksandra Zelwerowicza w „Zemście nietoperza".

W życiu Karasińskiego szczególnie burzliwy był zwłaszcza okres katowicki — 16 pracowitych lat przed drugą wojną. Grał wtedy wiele w terenie na zaproszenie różnych stowarzyszeń, prawie zawsze w bardzo trudnych warunkach, bo scen takich jak teraz prawie nie było. Były starcia z niemieckimi szowinistami, którym nie podobało się szerze-

(Dokończenie na str. 13)

CO KTO KOCHA?

MARIA BECHCZYC-RUDNICKA

OTO typowy życiorys z rodzaju „od pucybuta do milionera". Milionera na razie w przenośni, faktem jednak pozostaje, że Murray Schisgal jest *self-made-manem*, którego karierę można uważać za ideał przyświecający przeciętnemu obywatelowi Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. To znaczy, że imał się on wszelkich nierepreprezentacyjnych zawodów z podziwu godną wytrwałością, aż w końcu ta podstawowa amerykańska cnota została wynagrodzona również po amerykańsku oszołamiającym sukcesem. Jeszcze zaledwie półtora roku temu skromny trzydziestoparoletni autor dwóch miernych jednoaktówek, staje się Schisgal raptem, po premierze swej „Luv" (deformacja słowa „love"), znakomitością świata teatralnego nie tylko w kraju ojczystym, ale i w Europie, a niebawem sięgnie chyba jego renoma innych kontynentów, bo USA potrafią wylansować takich szczęściarzy.

W czym tkwi sekret powodzenia owego „Sie kochamy", które udostępnił Polakom dowcipny przekład Adama Tarna? Pewien wybitny krytyk amerykański — informuje nas „Dialog" — napisał, że sztuka Schisgala o krok wyprzedza awangardę. Może słuszniej byłoby mówić o kroku wstecz, ale nie spierajmy się o wytarte metafory. Istota rzeczy sprowadza się wszakże do krytycznego spojrzenia na egzystencjalne nastroje awangardy. Wydaje się, że Schisgal z nieomylnym praktycyzmem Amerykanina potrafił dostrzec moment, kiedy „noszenie serca na temblaku" (pożyczam zwrot nie z „Tanga", lecz od Châteaubrianda) zaczęło godzić w ustabilizowany model moralny i materialny Ameryki, wywołując przeciwdziałanie instynktu samozachowawczego.

Z tym „Sie kochamy" rzecz się ma nie tak prosto, jak to wygląda w niektórych komentarzach. Ot niby figiel sceniczny: z jednej strony ucieszna satyrka na braci-literatów, z drugiej — skarykaturyzowane na wesoło grzeszki ludzkie, niefrasobliwy pokaz banalnej wymiany mężów. Aliści to tylko pozory. Wprawdzie Schisgal udziela wywiadów, w których prawi, „iż widz nie powinien doszukiwać się znaczenia czy „wydźwięku" dramatu, gdyż byłoby to równie nonsensowne, jak zastanawianie się nad tym, co znaczy nowoczesny obraz". Wypowiedź brzmi dumnie. Tylko czy aby nie było w niej odrobiny spekulacji na „nowoczesności"? Widzi mi się, że Murray Schisgal, nieraz będący w opałach, wpadł na niezgorszy pomysł zastosowania dewizy homeopatów „podobne leczy się podobnym" — kpi przecie na dobre w „Sie kochamy" z ekscesów awangardy, to nie ulega wątpliwości. A więc cokolwiek by deklarował „dla fasonu", w istocie nie przeszkodzi upartemu widzowi doszukać się w nowoczesnej „abstrakcyjnej" „Luv" dość przejrzystych sugestii autora.

Otóż nie stawiając kropek nad *i*, Schisgal niemniej wykazuje na przykładzie Harry'ego, jakoby lepszy start finansowy bynajmniej nie ułatwiał życia. *Ergo* — ty, Miltonie, biedaku z urodzenia, możesz osiągnąć dobrobyt pilną pracą i mieć się dobrze, tylko nie podskakuj i nie goń za nadmiarem (czyli niech sobie inni mają miliony!). A ty, Ellen, kurko domowa, którą wypaczyła trygonometria, paleontologia i coś tam jeszcze, przecie chciałabyś, „żeby mąż, wracając do domu z gazeta pod pachą i głupim uśmiechem na twarzy, wołał już od progu: „Co jest na obiad, kochanie?" „Żeby w mieszkaniu unosił się odór brudnych pieluszek i talku"...

To jest ten ustabilizowany mieszczański ideał małego formatu, który został zachwiany w USA w latach powojennych. Na mój rozum, autor „Sie kochamy" nie dyskwalifikuje wcale ideału. Wyszydza odchylenia. Wszakże całe swe dotychczasowe życie *self-made-man* zaprogramował według tego modelu. Chodzi właściwie o to, by „luv" stała się na nowo „love". Zresztą nie tylko w zakresie miłości mężczyzny i kobiety, ale i w zakresie przyjaźni, więcej — w stosunku człowieka do człowieka.

Krytycyzm sentencji „człowiek nie potrafi pomóc człowiekowi" i „metafrycznego" spychania „bliźniego" do wody na pewno nie wykracza jednak poza sferę spraw moralnych, sztuka Schisgala nie przysporzyłaby trosk komisji do badania działalności antyamerykańskiej. Sądzę, iż na terenie USA może być z tego „Sie kochamy" tyle pożytku, co niegdyś u nas z utworów pośledniejszych przedstawicieli realizmu krytycznego.

Naszego polskiego widza, jeśli to widz wyrobiony, bez wątpienia zabawi ta rzecz doprowadzająca absurd do rzędu bzdury. Gorzej jest z widzem niewtajemniczonym w arkana awangardowego teatru. Nie wie po prostu, czy ma się śmiać, czy wzdychać.

Nie szkodzi, można się pośmiać. A okazji nie brak. Schisgal umiejętnie odświeżył sporo farsowych chwytów, które nie zawodziły od czasów Moliera i przed nim, mianowicie — gwałtowne „działania fizyczne", symetrię w odwracaniu sytuacji: choćby np. w zasadniczym temacie wymiany mężów, albo w udawaniu głuchego przy upominaniu się o pieniądze (coś jak „bee" w „Mistrzu Patelinie"). Ale niemało tu i nowych pomysłów — przelicytowywanie się we frustracjach dziecinnych, kapitalne „próby miłości", efekty z kubłem na śmiecie, celna metaforka w postaci papierowego kapelusza ciamajdy Harry'ego, który się zgrywa na „Dostojewskiego"...

„Sie kochamy" daje ogromne możliwości reżyserowi i aktorom. Całej trójce aktorów. Trzeba przyznać, że w inscenizacji Teatru im. J. Osterwy inwencja dopisała znakomicie zarówno **Lucynie Tychowej**, jak obsadzie danej jej do dyspozycji. Dekoracja **Jerzego Torończyka** była funkcjonalna w swym naturaliz-

(Dokończenie na str. 13)

Mazowiecka Wiosna Kulturalna

W DNIACH 23—28 czerwca odbywała się w Płocku Mazowiecka Wiosna Kulturalna, będąca pierwszym większym przeglądem dorobku kulturalnego woj. warszawskiego. Mazowiecką Wiosnę poprzedził zorganizowany w Płocku zjazd działaczy kulturalnych i przedstawicieli towarzystw regionalnych z Mazowsza. Na miejsce kilkunastu rozproszonych i niewielkich towarzystw kulturalnych powołano Mazowieckie Towarzystwo Kultury, które obejmuje swoim zasięgiem cały region. Nowe towarzystwo będzie koordynować wszystkie formy działalności kulturalnej stanowiąc jednocześnie forum dla szerokiej dyskusji działaczy regionalnych. Mazowieckie Towarzystwo Kulturalne kierować będzie badaniami naukowymi nad problematyką regionalną Mazowsza. W tym celu utworzony został Mazowiecki Ośrodek Badań Naukowych, który dysponować będzie także własnym periodykiem naukowym.

W czasie Mazowieckiej Wiosny Kulturalnej dokonano szerokiej wymiany poglądów na temat różnych form działalności kulturalnej na Mazowszu. Tak np. narada pedagogów szkół i ognisk muzycznych oraz działaczy ruchu upowszechniania muzyki podkreśliła rolę istniejących na terenie woj. warszawskiego ośrodków o bogatych tradycjach muzycznych i dużych osiągnięciach w dziedzinie upowszechniania kultury muzycznej, takich jak Płock, Siedlce i Żyrardów. Dużo uwagi poświęcono problemom amatorskiego ruchu teatralnego. Ta forma działalności kulturalnej była tematem narady z udziałem aktorów Państwowego Teatru Ziemi Mazowieckiej, krytyków teatralnych oraz reżyserów i kierowników teatrzyków/amatorskich. Seria spotkań poświęconych literaturze pozwoliła wojewódzkim działaczom kulturalnym poznać najbardziej aktualne problemy czytelnictwa. Zorganizowane w Płocku przeglądy zespołów tanecznych, estradowych muzycznych, teatralnych i recytatorskich były cennym uzupełnieniem narad i dyskusji specjalistów. Podobne cele spełniały wystawy plastyki i fotografiki. Szczególnie dużo uwagi poświęcono zagadnieniom folkloru i rzemiosła artystycznego. Zjechali się do Płocka utalentowani twórcy ludowi ze wszystkich regionów Mazowsza.

(Kt)

Wyjaśnienie

W artykule Zygmunta Mańkowskiego „Walka podziemna" w poprzednim numerze „Kameny" w trzeciej szpalcie ukazało się najpierw takie zdanie: „...były 2 plutony tzw. Służby Ochrony Powstania — dowódcą jednego był wielce zasłużony rzemieślnik Józef Zakrzewski ps. Ignac". A kilkanaście wierszy niżej, gdy chodziło o produkcję granatów: „...udział brali m. in. Irena i Leon Bembarzowie oraz Teofila i Ignacy Zakrzewscy". Rodzina prosi nas o wyjaśnienie, że w obu wypadkach chodzi o tę samą osobę — JÓZEFA Zakrzewskiego, ps. Ignac.

od BIEBRZY po BIESZCZADY

BIAŁYSTOK

◆ Lidia Ambroziak, Jadwiga Bartoszewska, Halina Siwicka i Andrzej Grabiec z Liceum Technik Plastycznych w Supraślu zdobyli nagrody w ogólnopolskim konkursie PKO na prace plastyczne o tematyce oszczędzania.

◆ Działający przy Zarządzie Wojewódzkim TPPR Klub Piosenki Radzieckiej na festiwalu w Zielonej Górze zdobył pierwsze miejsce w kraju. Członkowie otrzymali dyplomy i upominki, klub nagrodę pieniężną, a kierownik Jan Kulsaszewicz wycieczkę do Moskwy.

◆ W Klubie Kolejarza odbyła się interesująca wystawa pod hasłem „Praca, wypoczynek, rozrywka". Prace plastyczne, rzeźby, grafiki i fotografie amatorów stały na wysokim poziomie.

◆ Najnowszy, VI tom „Rocznika białostockiego", wydawanego przez Muzeum Okręgowe, w dużej części poświęcony jest badaczowi folkloru kurpiowskiego Adamowi Chętnikowi, ponadto materiały historyczne, etnograficzne i archeologiczne.

◆ Drugi białostocki plener artystów plastyków w Białowieży odbędzie się we wrześniu. Jak dotychczas wśród wielu zgłoszeń nie zarejestrowano żadnego z Kielc, Lublina czy Rzeszowa.

KIELCE

◆ Artysta plastyk mgr Leszek Kurzeja otrzymał pierwsze miejsce w konkursie uzdrowiska Busko-Zdrój za projekty pamiątek. Przedstawił serię kolorowych kart pocztowych. Drugie miejsce zdobył rzeźbiarz ludowy Adam Czarnecki.

◆ 580 dzieci z całego województwa spędzi po 2 lub 3 tygodnie na obozach lingwistycznych, zorganizowanych przez TWP, ZMS i TPD.

◆ W Klubie MPiK odbyła się ciekawa wystawa artysty plastyka Wacława Dobrowolskiego dyrektora ogniska plastycznego z Radomia. Malarz wkrótce obchodzi 50-lecie pracy twórczej.

◆ Kielecka fabryka „Iskra" ma aż trzy zespoły muzyczne: „normalny", orkiestrę dętą oraz zespół big-beatowy. Jak dotychczas, zawsze występują oddzielnie...

◆ Na teren wczesnośredniowiecznego grodziska Piotrówka przybyła ekspedycja wykopaliskowa Instytutu Historii Kultury Materialnej PAN. Pod kierunkiem mgr Ewy Kierzkowskiej przeprowadzi ona dalsze badania grodziska jak również cmentarza w Cerkwi.

LUBLIN

◆ Mimo dużej aktywności w czerwcu Zakładowy Dom Kultury przy KFWM w Kraśniku nie przewiduje na lipiec sezonu ogórkowego. Dwa zespoły dramatyczne wystąpią z premierami, a zespoły wokalne także przygotowują nowe programy.

◆ W szkole podstawowej w Strupinie Dużym w pow. chełmskim odsłonięto tablicę pamiątkową patrona szkoły — Wł. Broniewskiego. Równocześnie odznakę Tysiąclecia otrzymała poetka ludowa Paulina Hołyszowa.

◆ Teatr lalkowy im. Andersena przygotowuje inscenizację „Don Kichota". Ciekawostka: reżyseruje Jan Dorman z Będzina, inscenizację przygotowuje Jacek Dorman, syn Jana.

◆ Marek Tomaszuk, uczeń szkoły podstawowej nr 6 w Chełmie, zwyciężył w konkursie recytatorskim „Czy znasz literaturę Ziemi Chełmskiej?". Udział brało 300 uczniów.

◆ Zespół żywego słowa uczniów Podstawowej Szkoły Muzycznej w Lublinie przygotował pełną inscenizację „Poematu o mieście Lublinie" Józefa Czechowicza. Reżyserowała Helena Zacharczukowa, muzyka Aleksandra Bryka.

RZESZÓW

◆ Co trzeci mieszkaniec w Tyczynie i w Błażowej jest stałym czytelnikiem miejscowej biblioteki. Niewielu mniej w Piątkowej, ale tu bibliotekę zamknięto, bo jej stary budynek ulega rozbiórce, a nowego lokalu władze nie przydzieliły.

◆ Nakładem krakowskiego WAG ukazały się dwa dalsze albumy — „Ziemia sanocka" i „Ziemia przemyska". Niestety nie są one najlepiej opracowane.

◆ Mija właśnie 5 lat od chwili powstania teatru poezji w PDK w Lubaczowie. Od początku prowadzi go Czesława Manasterska. I prawie na sam jubileusz zespół zdobył wyróżnienie na szczecińskim festiwalu poezji im. K. I. Gałczyńskiego.

◆ Co niedzielę w PDK w Jarosławiu odbywają się seanse dla członków klubu miłośników filmu oświatowego. Klub liczy 200 członków.

START Z AMBICJAMI

PODJĘCIE nowego wydawnictwa zawsze wiąże się z dużym ryzykiem. Przed redaktorami staje pytanie, na które trzeba praktycznie odpowiedzieć jeszcze przed opublikowaniem pierwszego numeru: do kogo adresujemy czasopismo, a w konsekwencji — co ono powinno zawierać. Tu, oczywiście, każdy ma swoje zdanie, nieraz zresztą co kilka dni inne.

Przed takimi kłopotami stanęli niewątpliwie redaktorzy *„Kwartalnika Rzeszowskiego"*, którym jako naczelny przewodzi Stanisław Frycie, a sekretarzuje Zbigniew Wolf. Wprawdzie fakt, że wydawcą jest Rzeszowskie Towarzystwo Przyjaciół Nauki i Sztuki jakoś determinuje krąg zainteresowań — ale co z tego kręgu uwypuklić w pierwszym numerze, co odłożyć na później? Wybór tym trudniejszy, im periodyk rzadziej się ukazuje, bo — jak w tym wypadku — do następnego numeru trzeba będzie czekać aż cały kwartał.

„Oddając do rąk Czytelników pierwszy numer „Kwartalnika Rzeszowskiego" żywimy nadzieję — pisze redakcja — *że pismo nasze, pierwszy stały periodyk Rzeszowszczyzny, służyć będzie utrwalaniu i przekazywaniu szerokim kręgom społeczeństwa tego regionu dorobku środowisk naukowych, oświatowych i twórczych oraz wymianie doświadczeń i osiągnięć między tymi środowiskami... poza rozprawami naukowymi ogłaszane będą artykuły publicystyczne o tematyce oświatowej i kulturalnej, ponadto aktualne recenzje, materiały i korespondencje. Będziemy również starali się popularyzować twórczość literacką i artystyczną, głównie związaną z regionem".*

A jak z realizacją w pierwszym numerze?

96-stronicowy numer otwiera praca Aleksandra Codello *„Rzeszów na przełomie XIX i XX wieku"*. Przynosi ona wiele ciekawych faktów, daje ogólny pogląd na omawiany okres, ale — zgodnie z podtytułem — omawia tylko życie kulturalne. Oczekiwać należy, że w następnych numerach ukażą się opracowania z innych dziedzin.

Antoni Jopek zamieszcza rozprawkę o Zygmuncie Kaczkowskim, autorze poczytnej przed stu laty powieści *„Bitwa o chorążankę"*, otwierającej cykl opowiadań i powieści *„Ostatni z Nieczujów"*, a Henryk Smyczyński pisze *„O szkole kalwińskiej w Dubiecku w XVI wieku"*.

Chyba najsłabiej przedstawia się dział publicystyki. Wbrew nagłówkowi zamieszczone tam dwa materiały nie są artykułami, a referatami, którym — zwłaszcza zaś pierwszemu — brak krytycznego i polemizującego spojrzenia na rzecz tak trudną i wywołującą tyle dyskusji — reformę szkolnictwa. Autor drugiej pracy ma już bardziej indywidualne spojrzenie, nie cofa się przed wypowiadaniem własnych sądów — ale publicystyka nie znosi tylu cyfr, nawet, jeżeli są one ułożone w tablice (trzy strony druku).

Z przyjemnością czyta się materiały J. Nowakowskiego i T. Stanisza o Stanisławie Piętaku, poznajemy sylwetki rzeszowskich twórców: Zdzisława Ostrowskiego, Wojciecha Kawińskiego i Kazimierza Orłosia. Dlaczego jednak recenzję Słuckiego ze zbiorku *„Narysowane we wnętrzu"* Kawińskiego zamieszczono osobno, a życiorys i wiersze osobno? Trudno również zrozumieć, dlaczego pojawiły się rozważania o mrożkowskim *„Tangu"*.

Pewien niedosyt sprawia fakt, że brak chociażby jednego materiału związanego z Tysiącleciem.

W sumie jednak *„Kwartalnik Rzeszowski"* wystartował nie tylko z dużymi ambicjami, ale i rzetelnymi osiągnięciami. Życzymy mu serdecznie dalszego rozwoju, systematycznego ukazywania się oraz poparcia u władz i czytelników.

(dost)

Aktorskie gody

(Dokończenie ze str. 12)

nie słowa polskiego na Śląsku. Nieraz jeździli za granicę do rodaków w Opolskie. Ryzyko było duże, bo nierzadko na wracających aktorów czatowały niemieckie bojówki. Często trzeba było wracać okrężną drogą, bo przyjacielski wywiad donosił o planowanym napadzie. Nieraz nawet brało się zakładników, by móc spokojnie wrócić do Polski!...

Potem była wojna i trzeba było usiąść za biurkiem, aby zarobić na życie. Gdy tylko warunki po wojnie na to pozwoliły, rusza do Olsztyna organizować pierwszy polski teatr na Mazurach. Po tygodniu była już gotowa pierwsza sztuka — „Moralność pani Dulskiej". Po 25 przedstawieniu ówczesny wojewoda dr Robel wręczył Karasińskiemu dyplom honorowy, spisany na autentycznej skórze wołowej. Potem przez Warszawę, Rzeszów, i Kraków dotarł do Kielc w roku 1953 za dyrekcji Moryciańskiego. Trzy lata później za Byrskich święcił jubileusz 50-lecia pracy aktorskiej. Grał Cześnika w „Zemście", zbierając olbrzymie brawa za stworzenie krwistej, pełnej życia sylwetki Sarmaty-rębajły. Otrzymał wtedy wysokie odznaczenie państwowe — Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski. Gra do dzisiaj, zawsze pracowity i pogodny, przemierzając ze znacznie młodszymi kolegami Ziemię Kielecką. Gdy ukończył 80 lat dostał pięknie stylizowany adres od „Komedyanckiej Rzeczpospolitej Theatrum Kieleckiego".

Jubileusz 60-lecia, obchodzony pod protektoratem ministra Kultury i Sztuki Lucjana Motyki, przyniósł zasłużonemu aktorowi Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski oraz odznakę „Zasłużonego dla Kielecczyzny", długo niemilknące oklaski publiczności oraz olbrzymią ilość kwiatów. Było to święto całego Teatru im. Stefana Żeromskiego.

Święto minęło a Edmund Karasiński — „Karaś", jak go nazywają koledzy — znów co wieczór zjawia się na scenie i aż trudno uwierzyć, że tyle pracowitych i pięknych lat spędził w świetle reflektorów.

Życzymy Mu wszyscy „Sołskich lat na scenie" — jak to głosił jeden z jubileuszowych telegramów.

Teatr im. Stefana Żeromskiego — GRUBE RYBY Michała Bałuckiego. Reżyserował Andrzej Dobrowolski, scenografia Marian Gostyński.

AKTORZY: Edmund Karasiński, Helena Bulikówna, Stanisław Moskalewicz, Bolesław Orski, Nina Skoluba, Jerzy Szmidt.

Ryszard Podlewski

Poszukiwanie modelu

(Dokończenie ze str. 6)

ma PDK, na Kielecczyźnie istnieje tylko 8 powiatowych domów kultury z ciągłymi kłopotami kadrowymi. Co można w takiej sytuacji powiedzieć o losie „powiatowych poradników"?

Do operatywności w terenie potrzebny jest własny tabor. WDK w Lublinie ma dwa mikrobusy, które są bezustannie w ruchu. Kielce w całym pionie bibliotek i domów kultury mają jeden, dość sfatygowany, białostocki WDK — „Warszawę" i autobus, ale władze wojewódzkie żądają, aby służbowe wyjazdy pracowników poradni odbywały się (gdzie to możliwe) autobusami PKS. Trudno się dziwić pewnemu brakowi entuzjazmu, jaki cechuje pracowników poradni w Białymstoku, przy jazdach w teren.

* * *

Tak mniej więcej przedstawia się ogólny obraz wojewódzkich domów kultury w trzech wschodnich województwach. Ich działalność można by w wielu wypadkach nazwać n i e o k r e ś l o n ą. Ale i n i e o k r e ś l o n a jest właściwie ich sytuacja w całokształcie naszej polityki kulturalno-oświatowej. Są WDK i jednostkami podległymi bezpośrednio wydziałom kultury PWRN i równocześnie starają się często prowadzić własną politykę kulturalną. Sprawują opiekę nad powiatowymi domami kultury i licznymi innymi placówkami kulturalnymi w województwie, ale właśnie tylko s p r a w u j ą o p i e k ę. Nie mają już nic do powiedzenia np. w sprawach zwalniania czy zatrudniania w PDK pracowników. Nie mają zbyt wiele do powiedzenia w powiatowych poradniach. To już gestia rad narodowych. Są instytucją mającą największe rozeznanie w sprawach kulturalnych w terenie i... w sprawach tej kultury mają (i w terenie i w wyższych instancjach wojewódzkich) bardzo mało do powiedzenia. W dziwacznych nieraz warunkach lokalowych i przy dużych trudnościach finansowych, oraz zróżnicowanej kadrze, akcentują przecież coraz silniej swój nowy profil, dyktowany po prostu przez konieczność życiową: profil wojewódzkiego ośrodka pracy kulturalno-oświatowej, szkoleniowej, o silniej niż dotąd zaakcentowanej odrębności i większych niż dotąd uprawnieniach. De iure pozostają wciąż na etapie „świetlic", gdy sytuacja i praktyka domaga się w ich koncepcji radykalnych zmian.

Mirosław Derecki

CO KTO KOCHA?

(Dokończenie ze str. 12)

mie. No bo ze skakaniem z mostu nie ma cudów, tu wchodzą w grę nogi i ręce. Spektakl jest mocnym cocktailem z groteski, komedii, farsy i klownady. Każda z ingredienci w wybornym gatunku. Bohaterowie — na wysokości zadania.

LEOPOLD MATUSZCZAK jako Harry potrafił wydobyć cały komizm z abnegacji, z „przypadłości", z niedołężnych zapałów miłosnych. Nie ustępował mu w dowcipie ANDRZEJ GAZDECZKA, rozbrajająco naiwny egoista Milt, który ma szczególnie popisowe momenty w akcie II (te powroty z nurtów rzecznych!). Równie świetną partnerką swych dwóch mężów jest Ellen (HALINA KAZIMIEROWSKA). Udała się jej bardzo prezentacja „wiedzy" i komentarz „wykresu" matrymonialnego, wreszcie cała postawa ustylizowana na reprodukcje z popularnych magazynów.

Podkład muzyczny do tandetnych wierszydeł o miłości i komiczny układ tańca są sukcesem RYSZARDA SCHREITERA i KRYSTYNY MAZURÓWNY.

Tylko piesek, który miał gonić Harry'ego w finale, nie dopisał na drugim przedstawieniu: zwyczajnie zwiał z teatru. Trudno — „miłożd?".

Maria Bechczyc-Rudnicka

PLASTYKA

Rumuńskie spojrzenia

DNI Kultury Rumuńskiej w Lublinie (25—30 czerwca) dały okazję do zorganizowania kilku wystaw, obrazujących życie tego kraju. Otwarcia interesującej nas wystawy grafiki w Klubie MPiK dokonał radca ambasady rumuńskiej w Polsce Alexandre Tujon, któremu towarzyszył pierwszy sekretarz ambasady Lucjan Rusu.

Niezbyt często w stolicy, a tylko wyjątkowo w Lublinie stykamy się ze sztuką rumuńską. A przecież z tego właśnie kraju pochodził Brancusi, genialny rzeźbiarz, autor słynnego „Ptaka" i „Kolumny bez końca", która, zbudowana ze ściętych stożków opartych o siebie podstawami, wzbija się z płaszczyzny Targu Jiu i całkowicie ją określa, dając powód do niejednej refleksji nie tylko poetom.

Również wśród malarzy współczesnej Rumunii spotkać można kilku, których twórczość warto by poznać. Myślę o ciekawym, zbliżonym do informelu malarstwie Popa Eugen, o surowych fakturach „Pól" Maitec Sultana, o obrazach Codita Pavel, które cechuje specyficzna autonomia, zbliżona w swym sensie malarskim do twórczości Jana Cybisa. Myślę także, że warto zapoznać polską publiczność z dorobkiem Mirea Ion oraz — zabrzmi to chyba jak paradoks — z tym żywym do dziś nurtem sztuki, socrealizmem, który w Rumunii posiada odrębny i wielopostaciowy charakter, nie wykluczający indywidualnych programów artystycznych. Słowem — pokazałbym twórczość Costinesco Radu i jemu pokrewnych malarzy.

Bezsprzecznie najciekawsze prace pokazane w lubelskim Klubie MPiK, noszą nazwisko Chirnoaga Marcela („Budowle", „Perspektywa" — obie z 1964 r.). Daleko posunięta transpozycja układów urbanistycznych, kokietująca nieco florystyczną metaforyką, intryguje czystością niemal matematycznej kompozycji, wypunktowanej zgeometryzowanymi przedmiotami. Indywidualne spojrzenie twórcy nie relacjonuje rzeczywistości, lecz podnosi ją do poziomu własnej zdyscyplinowanej wyobraźni.

Uwaga pozostałych grafików zwrócona jest przede wszystkim na pejzaż urbanistyczny i przemysłowy, co częściowo tłumaczą aktualne procesy zachodzące w Rumunii. Rezultaty artystyczne tej orientacji nie we wszystkich wypadkach mogą zadowolić. Niektóre z nich są zbyt ilustracyjne, inne banalne czy nawet infantylne. Na ich tle szczególnie dodatnio wyróżniają się „Rogatka miejska" Botana Gheorghe'a oraz „W parku Herastran" Paara Hildegard, rytmicznie zbudowane litografie, akcentujące zagadnienie środków plastycznych.

W ramach wystawy pokazano również wydawnictwa książkowe i albumy. W tym wypadku nie ma miejsca dla jakichkolwiek zastrzeżeń. Poszczególne pozycje wydawnictwa „Meridiane" — odpowiedni dobór czcionek, ciekawe rozłożenie akcentów typograficznych, dobra jakość kolorowych reprodukcji, częste operowanie kontrą białej i czarnej strony — zaspokoją najbardziej wybredne gusty. A do tego wysoka jakość papieru!

Plener w Zamościu

2 lipca otwarto w Zamościu I Ogólnopolski Plener Artystów Malarzy, zorganizowany przez Prezydia PRN i MRN w Zamościu, przy współpracy Wydziału Kultury Prezydium WRN, BWA i ZPAP w Lublinie. Plener ma na celu:

— ukazanie społeczeństwu piękna Zamościa i Roztocza w twórczości plastycznej,

— zapoczątkowanie galerii współczesnej sztuki związanej z regionem zamojskim.

Witamy z uznaniem inicjatywę organizacji takiego, jakże potrzebnego spotkania. Mamy przy tym nadzieję, że plenery zamojski i puławski (w sierpniu) nie pozostaną bez wpływu na lubelskie środowisko plastyczne.

KAM

»KAMENA«

Pismo lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Redaguje Kolegium: Konrad Bielski, Jerzy Dostatni (sekretarz redakcji), Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Zygmunt Mikulski.

Przedstawiciele redakcji: BIAŁYSTOK — Stanisław Świerad („Gazeta Białostocka"), ul. Wesołowskiego 1, tel. 37-41. KIELCE — Tadeusz Bartosz („Słowo Ludu"), Plac Obrońców Stalingradu 2, tel. 82-26. RZESZÓW — Jan Grygiel („Nowiny Rzeszowskie"), ul. Żeromskiego 5, tel. 20-51.

Informacji w sprawie prenumeraty udzielają placówki pocztowe i Ruch. Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty.

Wydawca: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW PRASA. Lublin, Aleje Racławickie 1. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4. Adres redakcji: Lublin, ul. Graniczna 7 tel. 234-49

Zam. 2184 18.VI.68 L-4

Z ŻYCIA WZIĘTE

«Dziennikarze«

PRZYJEŻDŻAJĄ do naszego kraju różni goście. Są wśród nich również przedstawiciele prasy, zawodowi dziennikarze i przygodni współpracownicy werbowani okazyjnie przez pisma nie mogące sobie pozwolić na wysłanie w zagraniczną podróż własnego pracownika. Pozostają wśród nas przez pewien czas, przypatrują się życiu, zwiedzają miasta i wsie. A potem wracają do siebie i piszą.

Ciekawa jest lektura tego rodzaju twórczości. Jeżeli nie zna się dokładnie naszego kraju, jeśli pobyt w nim ogranicza się do kilku dni i jeśli informacje czerpie się z przygodnych źródeł, wtedy lektura takiego materiału może przynieść czytelnikowi wiele satysfakcji, nierzadko zdarza się bowiem czytać o własnym kraju rzeczy, które nikomu się nie śniły.

Byłbym jednak niesprawiedliwy, gdybym nie podkreślił pocieszającego faktu: na ogół relacje o naszym kraju są poparte dużym zasobem wiadomości i niezależnie od przekonania piszącego, od jego poglądów politycznych, obraz Polski i Polaków, często malowany z widoczną niechęcią, jest jednak prawdziwy, zbliżony do rzeczywistości. Nie mówię tu o przyjaciołach naszego kraju, którzy z zasady są obiektywni i starają się pokazać nie tylko to co ciekawe, ale przede wszystkim to, co świadczy o procesach rozwojowych, o kierunku w jakim zmierza nasz naród.

Jest jednak wśród piszących o naszym kraju dziennikarzy kategoria używająca tego samego języka, a raczej żargonu i tych samych pojęć, kategoria stosująca bardzo swoiste kryteria oceny tego, co się u nas dzieje. Są to dziennikarze z Niemiec zachodnich.

Na łamach zachodnioniemieckiej prasy relacje z Polski nie należą do rzadkości. Większość z nich napisana jest jednak przy pomocy tej samej metody. Niby opisuje się faktycznie istniejące miasto, niby pokazuje się nowe bloki mieszkalne, niby przyznaje się, że Polaków cechuje wielka żywotność i zaradność. A jednak przeważa coś innego.

Oto parę zdań z reportażu o Wrocławiu, zamieszczonego przez „Frankfurter Allgemeine Zeitung":

„Są pralki, telewizory. Okien — przynajmniej w miastach — nie zakrywa się już tekturą".

W prymitywny sposób, aż do ceratowych imitacji płaszczy skórzanych naśladuje się tu modę zachodnią".

Ta sama gazeta w reportażu o Katowicach:

„Wiele rzeczy miało tu charakter „do it yourself", wielkiego niedbalstwa tych nowych chłopów, którzy niegdyś posiadali o wiele mniejsze gospodarstwa i którym prawdziwe zadomowienie w pańskich dworach sprawiało trudność. Wszyscy oni, jak to się bardzo często zdarza na Śląsku, który stał się polskim, nosili ubranie za duże na swoją miarę. Czasem wydawało się ono odpowiednie, częściej jednak zwisało po cygańsku, jak sparszywiały, paradny strój z dawnych czasów".

„Gdyby człowiek był sentymentalny, to musiałby powiedzieć, że domy patrzyły na nas z głębokim smutkiem, jak zwierzęta, które utraciły swego pana. Miały jeszcze duszę, ale ona marzła".

Albo fragment reportażu o Gdańsku z „Koelnische Rundschau":

„Kamienice można odbudować, lecz życia nie. Nie widać śladów dawnej żywotności miasta. Żyjący w nim ludzie nie pasują do historycznej imitacji. Widok ulicy, pomimo całej jej okazałości, ma w sobie coś ubogiego; zwłaszcza tłum przechodniów jest biednie ubrany, ludzie zaś robią wrażenie źle odżywionych, smutnych, strapionych i przepracowanych".

Można przytaczać bez końca. Wprawdzie coś się tam robi, coś buduje, ale przeważa coś innego: ceratowe płaszcze, sparszywiałe ubrania, szarzyzna ulicy i przepracowany człowiek. To już nie dziennikarze, dziennikarz tak nie napisze. To przedstawiciele tych, którzy niczego się nie nauczyli. Jak byli zadufani w sobie, tak są zadufani do dziś, jak byli gruboskórni, tak są nadal chamscy i bez taktu. I mają zupełnie krótką pamięć.

Kiedy taki jeden z drugim „dziennikarz" przyjeżdża do Polski i zapisuje swój notes bzdurnymi spostrzeżeniami, ani przez myśl mu nie przejdzie, że ten kraj, który mu udziela gościny, kwitłby dzisiaj i spływał miodem, gdyby jego ziomkowie nie spustoszyli go ogniem i żelazem, gdyby nie zamordowali kilku milionów ludzi i nie wyniszczyli fizycznie i w dużym stopniu psychicznie pozostałej przy życiu generacji.

Każdy ma prawo przyjechać do naszego kraju i krytykować nasze braki, pokazywać niedostatki, wytykać zaniedbania przy odbudowie kraju. Nie mają jednak tego prawa ci, którzy reprezentują kraj otaczający opieką winnych naszych niedostatków, kraj, który nie tylko nie poczuwa się do żadnej skruchy, ale prowadzi politykę przygotowania nowego pochodu na Wschód.

BAR

ZYGMUNT MIKULSKI

Podróż

„Weź walizkę" — przynagla maligna —
„lat zatratę, niepewność i koeyk".
Wszedł na niebo kolejowy sygnał
o godzinie zero zero w nocy.

Kiedy śpią przed jutrem (piątek? środa?),
gdzie latarnie chwiejne i nie wszystkie.
Na peronie konduktor mi podarł
bilet, bo nie zgadzał się z nazwiskiem.

Liść na żwirze, latarnie i schody
jak powietrza błonka w sierpniu, w drżeniu.
Rozpacz, że mi umknął wiatr przygody?
Szczęście, że umknąłem przeznaczeniu?

Nazwa stacji przybita do drzewa
gwiazdą jedną krzywo i wysoko.
Cień nie pachnął nocą, mrok nie śpiewał.
I odchodząc odczytałem: „Dokąd".

MINUTA MYŚLENIA

Wartość zgrzebnego słowa

ODBYŁ się niedawno w Lublinie Ogólnopolski Zjazd Pisarzy Ludowych. Gdzie indziej bywają sympozjony i „wiosny", jak na przykład ostatnio (przytaczam za Zbigniewem Bieńkowskim ze 159 numeru „Kultury") w Kołobrzegu, Rzeszowie, Przemyślu, Wrocławiu, Piotrkowie, Łodzi i Opolu. Ale owe formy kontaktu są dziś tak nagminne, że oryginalnością jest raczej coś... gminnego. I lubelski zjazd podrzucił mi kilka refleksji, które nie bacząc na możliwość scysji z opinią profesjonalną przedstawiam niniejszym pod rozwagę.

Ze stanowiska socjo-historycznego poezję ludową uważa się za zło konieczne, jako pozostałość kapitalistycznego zacofania. Gdyby każdy miał wykształcenie w wymiarze szkoły średniej, nie byłoby poetów ludowych, byłiby poeci. I odium w stosunku do kapitalizmu nieuświadomionym prawem rykoszetu — po drodze zmieniając się w pobłażanie — przechodzi na ludowych twórców. Nie macie matur, nie oglądacie Mrożka, nie odbywacie rozszerzonych pleńów zarządu głównego. A rzadko rzecz traktuje się z tej drugiej, właściwej strony. Że pomimo nieposiadania matur wykazujecie dość czasem rozległą znajomość zagadnień literackich, a przede wszystkim pasję zdobywania coraz wyższych kwalifikacji.

Realizowaną wbrew ilu przeszkodom! To nie życiowe warunki współczesnego młodego poety, jeżeli postawionego w trudnej sytuacji, to raczej na skutek swej własnej chaotycznej, „autostopowej" filozofii życia, a przeważnie „zawieszonego" gdzieś przy redakcjach czy komisjach. Tu oprócz ciężarów, jakie przynosi praca fizyczna, zachodzi konflikt między „zawodem umiłowanym" a „zawodem wykonywanym". Różnica między obredleniem hektara buraków a napisaniem wiersza jest różnicą rodzaju, jedna praca drugiej nie uzupełnia i nie przedłuża. W takich warunkach podjąć służbę na rzecz Euterpe oprócz koniecznej służby na rzecz Cerery jest godnym uznania heroizmem. Ilekroć stykam się z ludowym poetą, doznaję uczucia zażenowania z racji handicapu, jaki ja — inteligent otrzymuję od owego robotnika na roli i słowie.

Również rzadko gdzie spotkać tak rzetelny stosunek do poezji, jak u poetów ludowych. To nie chęć emulacji, ani staranie o powodzenie społeczne jest przyczyną uprawy tego jeszcze jednego, poetyckiego zawodu. Zasadniczą rolę gra tu rzeczywiste umiłowanie piękna, odczuwanie potrzeby wyrażania ludzkich uczuć, szukanie partnera lirycznego dialogu.

Wyznania, jakie padają z ust tych przedstawicieli „samorodnego" (jest jeszcze jakiś inny?) talentu czynione są bez obawy przed śmiesznością. I bardzo przekonujące jest to expressis verbis, może nie zawsze w precyzyjnych terminach wyrażanie przekonań. Coś mi się wtedy przypomina z Platona, który swoim kunsztownym rozważaniom o pięknie, prawdzie i dobru nadał formę rynkowej gadki, a język piekarza, rybaka i sprzedawcy oliwek. Pośród — niestety — jarmarcznego rozgwaru dzisiejszych środowisk poetyckich takie traktowanie sprawy, której na imię „poezja", jest mi z młodzieńczych jeszcze lat bliskie i niezależnie od stopnia osiągnięć artystycznych uważam je za zasadniczy warunek wszelkiego owocnego kontaktu ze sztuką. Tym bardziej, kiedy widzę tak widoczny postęp w panowaniu nad warsztatem, nad środkami wyrazu, jaki się dał zauważyć na przykładzie kilku uczestników ostatniego lubelskiego zjazdu.

Na pytanie o dalsze losy amatorskiej twórczości ludowej życie samo jeszcze nie dało odpowiedzi. Naturalna byłaby ta, która się nasuwa przez analogię ze wszystkimi innymi objawami „wczorajszej" wsi: studziennym żurawiem, strzechą, koniem. Jednakże poezja chłopska nie wykazuje cech uwiądu, a nawet — co widzieliśmy w Lublinie — zaczyna narastać w sile liczbowej i artystycznej. Dla mnie osobiście jest to zjawisko pocieszające. Wiem, że dziś trudno z tej strony oczekiwać odnowienia środków wyrazu. Ale odkłamania, odsztucznienia, odbanalizowania postawy poetyckiej — na pewno.

Ijon

WŁODZIMIERZ ŚCISŁOWSKI

FRASZKI

Talent

Oceńcie talent tego gracza,
wzrok wyostrzony, czułe ucho:
chociaż we wszystkim palce macza —
wszystko uchodzi mu na sucho...

Gentlemani

Kiedy prawda jest zbyt naga —
wielu poznać się ją wzdraga.
Lecz gdy prawda już odkryta —
wielu się z nią chętnie wita!

Novum

„Nichil nowi sup sole!"
A ortografia, matole?

Czytelnictwo

Urozmaiceń pewnych doza
Nawet w lekturze korzyść da mi:
Raz czytam wiersze między prozą,
raz prozę znów między wierszami.

Punkt widzenia

Wszyscy przecież tego pragną! —
rzekła żaba skacząc w bagno.

Mówca doskonały

Najoszczędniejszy z umysłów:
własny ma tylko cudzysłów.

BIG-BEAT

Gadaj do lampy

PANIE Redaktorze! Pani Mirosława Knorr nie korzysta z łamów „Kameny" (czyżby jej Pan nie zapraszał?), ale jej nazwisko musi być dobrze znane czytelnikom moich felietonów, jako że już bodaj po raz trzeci je (nazwisko) wymieniam. Tym razem z racji arcysłusznego materiału pt. „Pieśń dziadkowa o piękności słowa" („Sztandar Ludu" z 27 czerwca).

Autorka pisze na marginesie imprez organizowanych ku czci Tysiąclecia: „Jak Polska długa i szeroka nie zabrakło też okolicznościowych przemówień, powitań, całych montaży słownych dla rzeczowych podsumowań, podniesienia nastroju, dla wyzwolenia wzruszeń.

I najpierw chodzi o te przemówienia, zagajenia, powitania. Wiadomo: referat powinien być napisany. Z przemówieniami może być różnie; owszem, też mogą być napisane. Mówca często musi posługiwać się kartkami, tym bardziej, gdy chce cytować dane cyfrowe, nazwy, miejscowości, nazwiska. Ale, niestety, do nielicznych, (przynajmniej w naszym województwie) należą ci, którzy „operując" leżącym na mównicy brulionem, potrafią oderwać od niego oczy, by zwrócić je na słuchaczy, ci, którzy umieją wtrącić coś „od siebie", zrobić zręczną dygresję — słowem ożywić oficjalne wystąpienie, sprawiając, by prawdziwe i potrzebne, ale niestety, aż bardzo często bardzo monotonne relacje zadźwięczały żywym dźwiękiem..."

Panie Redaktorze! Nareszcie! Niech Pan ustanowi Wielki Order Kameny i uroczyście wręczy go Pani Knorr, która tak rozsądnie na łamach „Sztandaru" przemówiła. W dwudziestym drugim roku Polski Ludowej zalewa nas fala gadulstwa. Na dziesiątkach, setkach, tysiącach zebrań od Bugu do Odry niemal każdy obywatel w wieku od 16 do 75 lat musi wtrącić swoje trzy grosze uważając się za speca w każdej dziedzinie wiedzy. (Te „trzy grosze" to, broń Boże, nie aluzja do felietonów Pana Redaktora Gnota w „Kurierze Lubelskim". Przy okazji dziękuję mu za solidne obruganie gastronomii, dla której kalafior to bananowy delikates).

Jest takie piękne polskie powiedzenie: „gadaj do lampy". Żeby! Tego gadania muszą słuchać, albo udawać, że słuchają, współtowarzysze wspomnianych zebrań. Słuchają i myślą: „Niech ten drań szybciej skończy. No, ale gdy mnie udzielą głosu — zemszczę się z nawiązką!" Szkoda jednak, że tak nie mogą powiedzieć telewidzowie, skazywani od czasu do czasu na „popisy krasomówcze" niektórych działaczy i komentatorów. Jedyny ich ratunek w gałce. Przekręca się i spokój w domu.

Nie przekręciłem gałki, kiedy przemawiał prezydent de Gaulle na lotnisku w Moskwie. Bez kartki, ze swobodną, choć nie pogłębioną patosu, gestykulacją. Nawet osobom nie znającym języka francuskiego udzielał się nastrój. Zawsze też, Panie Redaktorze, słucham przemówień i sekretarza KC Władysława Gomułki i premiera Józefa Cyrankiewicza. Mają swój własny styl.

Rozumiem, są sytuacje, kiedy nie można mówić na podstawie notatek, kiedy waży się każde słowo. Ale przecież nie każde słowo jest kruszcem złota! I stanowczo wolę, jeśli ktoś się zająknie, ale widać, że przemawia „od serca" niż gdy cały czas ma oczy skierowane na pulpit, na którym leży mniej czy bardziej sążnisty referat.

Proponuję: podejmijmy, obywatele PRL, uroczyste zobowiązanie na cześć Tysiąclecia. Uczmy się mówić. Do lampy, do lustra, do rodziny. Uczmy się mówić wolno, wyraźnie i rzeczowo. Jeśli rodzina zgodnie orzeknie, że możemy spróbować naszych sił na szerszym forum, zabieramy głos na zebraniu we własnym zakładzie pracy. To będzie drugi egzamin. Jeśli i on wypadnie pomyślnie (koledzy oceniają — przemawiamy na naradzie, konferencji powiatowej. Później dopiero, „na szczeblu wojewódzkim". Nad ewentualnym zaproszeniem do Telewizji będziemy się jednak musieli solidnie zastanowić. Chociaż.... czy ja wiem? W TV przeważnie się... czyta a nie mówi. Szkoda!

Jacek

Odpowiedzi Redakcji

S. A. w Modliborzycach: Nie sądzimy, aby zrobił Pan postępy. „Czy życie musi być wspaniałe, by było życiem", „O moją pustkę rozbijają się czyjeś wołania" — to takie odkrywcze?

R. K. w Elku. „Klimatyzacja życia" zupełnie nie nadaje się do „Kameny". I chyba nie tylko do niej..

A. S. w Nowej Soli. Pisze Pan: „ryczy serca grom bez końca" i dalej: „wiem... co być poetą bez słów, wielkich słów". Wie Pan, a jednak pisze...

„Chełmianka". Rzeczywiście „Kamena" czuje zrozumiały sentyment do Chełma. I właśnie ten sentyment nie pozwala na druk b. słabych wierszy, które Pani nadesłała. Przepraszamy, nie nasza wina!

J. R. w Ropczycach. Z „Miniatur" nie skorzystamy.

L. K. w Hrubieszowie. Pana fraszka o ptaszku: „Nie dogonisz nigdy roku, gdy zamiast w szkole — bujałeś w obłoku". Słusznie!

J. P. w Jeleniej Górze. „Patrzę bezsilnie na mosty, pod którymi brodaci włóczędzy łowią złote ryby na haczyk z zardzewiałego gwoździa i gwałcą anielskie nieba kręgosłupem namiętności" — pisze Pan w wierszu. Im większy bełkot tym lepszy utwór? Mimo najlepszych chęci nie możemy, przynajmniej w tej chwili, umożliwić debiutu.

S. P. w Przedborzu. Nawet generał, któremu dedykował Pan wiersz, nie wpłynął na jakość utworu i stanowisko redakcji. Myśli słuszne, ale poezji nie ma wcale.

A. B. w Wysokiej k. Łańcuta. Drogi Panie, mamy krytyczne uwagi nie tylko do Pana utworów. Sądzimy jednak, że w przyszłości będzie mógł Pan zadebiutować, bo w nadesłanych utworach są okruchy tego, co nazywamy poezją.

W. O. w Żywcu. Słusznie Pan zauważa, że wiersze nie są najlepsze („komponowałem je w bardzo krótkim czasie i z pośpiechem ze względu na bliskie emocje"), stąd dziwi nas trochę prośba o ich wydrukowanie.

A. Oks. Prosimy porozumieć się z Międzywojewódzkim Klubem Pisarzy Ludowych (Lublin — Zamek, dr R. Rosiak). Może Klub umożliwi Panu druk w dodatku „Kameny" „Ziemia i Pieśń".

R. S. w Pasłęku. O ile nam wiadomo, Wydział Kultury Prez. WRN w Lublinie nosi się z zamiarem organizowania festiwali poezji Czechowicza, może nawet od przyszłego roku. W każdym bądź razie dziękujemy za pamięć i dobry pomysł. Nadesłane utwory, niestety, jeszcze słabe. Prosimy się nie zniechęcać!

J. M. w Radzyniu. Sądzimy, że ma Pani zadatki, aby debiutować w „Kamenie". Prosimy jednak o dużo większy wybór.

NOTY

JAK SIĘ OKAZUJE, w redakcjach trzeba nie tylko pisać, ale i liczyć. „Trybuna Ludu" z 29 czerwca (wyd. C) na str. 6 pisze, że „Aeroflot" przewozi dziennie ok. 200.000 pasażerów, a w ciągu roku przewiózł 42 mln. Protestujemy przeciwko pomniejszaniu osiągnięć „Aeroflotu". Nam z mnożenia wypadło 73 mln pasażerów rocznie i nic na to nie poradzimy.

NIE POPIERAMY handlarek owoców i warzyw, ale jeżeli mają zezwolenia to ich bronimy. W „Nowinach Rzeszowskich" z 28 czerwca (EW) pisze: „Jak bowiem zdołano zauważyć, niektóre z handlarek dezorganizują sprzedaż rynkową, wykupując towar od producentów, który następnie sprzedają po wyższych cenach". Bez większej spostrzegawczości zdołaliśmy zauważyć, że MHD oraz „Warzywa i Owoce" też wykupują towar od producentów i też go sprzedają po wyższych, a nie niższych lub takich samych cenach.

NIEZWYKŁE rzeczy dzieją się w Radomiu według „Życia Radomskiego". W numerze z 26—27 czerwca czytamy: „Idąc ulicą... Słowackiego zwraca uwagę, zwłaszcza wieczorem, efektowny zegar"... Widocznie jednak redaktorowi nikt nie zwrócił uwagi na stylistykę.

PODCZAS DYSKUSJI telewizyjnej przedstawiciel Filmu Polskiego powiedział, że Kawalerowicz i Wajda dlatego kiedyś otrzymywali nagrody, bo byli młodymi i niedoświadczonymi filmowcami. A teraz jako dojrzali twórcy doznali słynnej klęski w Cannes!

CHYBA Z OKAZJI Tysiąclecia „Głos Wybrzeża" zamieścił takie ogłoszenie: „Do wspólnego pokoju przyjmę pana. Św. Wojciech, Rzeczna 6 po 16". Ciekawe co święty robi do godz. 16?

„WSPÓŁCZESNOŚĆ" prowadzi stałą rubrykę „Kronika teatralna". Anonimowy autor wyraźnie dyskryminuje Lublin, Kielce i Rzeszów. Od kwietnia nie zauważył ani jednej premiery w tych miastach. Zresztą podobnie jest z „Przekrojem", który potrafi pisać o repertuarze w Honolulu, ale nie w sąsiednich województwach. A oba pisma mają ambicje ogólnopolskie.

„ŻYCIE LITERACKIE" zamieściło artykuł Tadeusza Robaka „Deglomeracja kultury?" Dowiadujemy się, że honoraria autorskie za 1 godzinę programu telewizyjnego wynoszą w Gdańsku 3000 zł, w Krakowie 4100 zł, w Poznaniu 4200, w Katowicach rosną do 6300, a w Warszawie olbrzymieją do 11000 zł. No i potem dziwimy się, że twórcy robią wszystko, aby emigrować do stolicy. A gdyby ktoś policzył honoraria w gazetach i czasopismach? Ale to podobno tajemnica służbowa.

W SYMPATYCZNYM „Nadodrzu" czytamy taki wierszyk, który usiłuje udawać satyrę: „Wreszcie pętasz się nad morzem, Może morze dopomoże, może plaży złote żuczki, może „mewki" zrobią kruczki? I jak ręką odjął wszystko — wracasz znów na stanowisko. Ty mnie żgniesz, ja cię żgnę, tak wzajemnie żgamy się". My już nie żgniemy, wystarczy tekst.

„POLITYKA" napisała niedawno, że wskutek chuligańskich wybryków w jednym z teatrów lubelskich zerwano przedstawienie. Skąd ta wiadomość? W Lublinie nikt o czymś podobnym nie słyszał.

(d)

KSIĄŻKI NADESŁANE

„Czytelnik"

Igor Newerly — Pamiątka z celulozy, wydanie XII,
Jan Wnuk — Finale Soboru i episkopat polski, Warszawa 1966, wydanie I,
Witold Dąbrowski — Koncert hebanowy, wiersze, Warszawa 1966, wydanie I,
Tadeusz Kubiak — Opisanie człowieka, Warszawa 1966, wydanie I,
Sławomir Kryska — Fragmenty, Warszawa 1966, wydanie I,
Halina Poświatowska — Oda do rąk, Warszawa 1966, wydanie I,
Ernest Hemingway — Nucheme święto, tłumaczył Bronisław Zieliński, Warszawa 1966, wydanie I,
Eliza Orzeszkowa — Jędza, Warszawa 1966, wydanie II,
Stefan Żeromski — Grzech, Dramatu akt pierwszy, Biała rękawiczka, tekst opracował Stanisław Pigoń, Warszawa 1966 r.